Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 28 czerwca 1936 r. Nr. 26.

U
K
O
C
H
A
J



B A Ł T Y K

Ukochaj nasz Bałtyk,
Tę polską strażnicę,
Co do naszej ziemi
Tuli się pieściwie
I nuci jej piosnki
W jasne dnie słoneczne
Tęsknotą nabrzmiałe — rzewliwe.

Ukochaj nasz Bałtyk,
Z piaszczystem wybrzeżem
Gdzie sosny samotne
Tu i ówdzie rosną —
Jakgdyby na gody
Jednako zielone
Czy latem, czy zimą, czy wiosną.

Ukochaj nasz Bałtyk,
Te wody bezbrzeżne,
Po których spokojnie
Płyną nasze statki,
Hen! na krańce świata —
Głosząc polskie imię
I wielkość — naszej Ziemi — Matki.

L. Ochędzanówna.

MARJAN BRONISŁAWSKI

25)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Nakłaniali także swych pracowników do uczęszczania na kazania i nabożeństwa ewangelistów, którzy mieli zamienić niesforne często i burzliwe rzesze robotnicze na gromady potulnych owieczek, prawdziwie oddanych swym pracodawcom, — owieczek, którym nigdy nie powstałaby w głowach myśl strajku lub żądania wyższego wynagrodzenia za pracę.

Ściany domów, parkany i płoty pokryto kolosalnemi plakatami, na których barwne obrazy żywo i wymownie przedstawiały oczom widza nędzę i upadek człowieka, nie pogardzającego kieliszkiem, a z drugiej strony rozkosze i dobrobyt, jakie czekają cały naród z chwilą wyrzeknięcia się wódki, piwa i wszelkich mocniejszych napojów.

„Precz z alkoholem, precz z namiętnościami, precz z zakonami“! rozbrzmiewało donośnie po całym kraju hasło Ligi przeciw-szynkarskiej i dotarło do wszystkich zakątków, aż wreszcie odbiło się głośnem echem w kongresie Stanów Zjednoczonych jako wniosek Volsteada, ogólnej, przymusowej prohibicji.

Przerażenie ogarnęło właścicieli szynków, browarów, gorzelń po całym kraju. Rozpoczęli przeciwdziałalność propagandzie Ligi, ale rychło poznali, że siły ich nie podołają przemożnym wpływom zwolenników prohibicji. Opuścili więc ręce i z rezygnacją oczekiwali dalszych swych losów, pełni najczarniejszych myśli na przyszłość. A czekając na ostateczne rozwiązanie sprawy, właściciele knajp zapełniali swe składy i piwnice szeregami beczek i tysiącami butelek wódki, słusznie przewidując, że w razie, gdyby wniosek Volsteada przeszedł w kongresie i prohibicja stałaby się prawem, ceny wszelkich napojów alkoholowych odrazu podskoczą kilkakrotnie. Bo żaden z nich nie wątpił, że i po uchwaleniu prohibicji nie zabraknie zapotrzebowania na zakazane trunki, zanim naród przyzwyczai się do nowego porządku rzeczy i zupełnie wyrzeknie się wszelkiego picia płynów upajających, a poprzestanie na wodzie sodowej i lemoniadkach lub piwie, pozbawionem alkoholu.

Nadszedł pamiętny w dziejach Stanów Zjednoczonych dzień głosowania nad wnioskiem Volsteada. Zgromadzeni w Washingtonie przedstawiciele ludu wszystkich stanów potrzebną prawie większością głosów opowiedzieli się za wnioskiem prohibicyjnym i prohibicja, jako osiemnasty dodatek do konstytucji Stanów Zjednoczonych, stała się prawem, obowiązującem we wszystkich stanach i terytorjach Unji.

Liga przeciw-szynkarska triumfowała. Z chwilą wejścia w życie ustawy prohibicyjnej Stany Zjednoczone stawały się, w myśl ustawy, suchutkie, zupełnie abstynenckie, bezalkoholowe. Toż ustawa wyraźnie mówiła, że „wyrób i sprzedaż wszelkich napojów, zawierających choćby pół procent alkoholu jest zakazany“. O zakazie samego picia nie było mowy w ustawie, bo zresztą jakże mógł kto pić wódkę, skoro nie wolno było jej wyrabiać i sprzedawać?

Wrota do niezmiernej szczęśliwości i dobrobytu w całym kraju stały otworem. Dzień wejścia prohibicji w życie był dniem śmierci dla wszystkich knajp w całym kraju. Sprzedaż napojów alkoholowych stała się przestępstwem, ostro i bezwzględnie karalnem.

Ale posłuszny wszelkim prawom i potulny dotychczas lud Stanów Zjednoczonych zignorował w zupełności nową ustawę. Ku niezmiernemu zdziwieniu tak samego Volsteada jak i jego zwolenników, przestępstwa prohibicji zaczęły mnożyć się wszędzie z niesłychaną szybkością. Okazało się, że jak pili ludzie przed ogłoszeniem prohibicji, tak piją po jej ogłoszeniu, z tą tylko różnicą, że amatorzy kieliszka musieli teraz słono płacić za wódkę i piwo sprzedawane potajemnie nietylko przez dawnych szynkarzy, ale i przez ludzi innych zawodów, którzy, w przewidywaniu tego co się stało, zaopatrzyli się w odpowiednie zapasy zakazanych płynów.

Daremnie powołano do życia całe zastępy specjalnych strażników, których zadaniem było czuwanie, aby nie przekraczano prawa prohibicji. Daremnie sądy nakładały surowe kary na przestępców prohibicji, którzy trudnili się sprzedażą wódki czy piwa.

Handel napojami alkoholowemi kwitł w całej pełni i Stany Zjednoczone były „suche“, ale tylko na papierze.

Pocieszano się tem, że taki stan rzeczy długo trwać nie może, że z chwilą skończenia się nagromadzonych zapasów, handel siłą rzeczy ustanie i ludność naprawdę i rzeczywiście przestanie pić, choćby nie tyle z poszanowania ustawy, ile dla braku upajających napojów.

Jakże grubo przeliczyli się zwolennicy prohibicji!

Nigdy nie przypuszczali, że prohibicja da początek nietylko przemytnictwu rozgałęzionemu do najwyższego stopnia, ale że zaprowadzi wśród ludności nowy rodzaj przemysłu — potajemne gorzelnictwo.

Póki jeszcze znajdowały się w piwnicach stare zapasy wódek, win i koniaków, szynkarze i przygodni handlarze sprzedawali je po cenach kilkakrotnie wyższych od cen kupna w czasach przedprohibicyjnych. Zapasy te jednak nie na długo starczyły, bo wraz z zakazem wyrobu i sprzedaży, zwykłą koleją ludzkiego ducha przeciwieństwa, spotęgował się apetyt na podniecające napoje. Trzeba było szukać nowych zapasów, nowych źródeł napitków.

Zaroiły się granice Kanady i Meksyku bandami przemytników. Każdy okręt, przybywający do Stanów Zjednoczonych z Europy, wiózł w niezliczonych skrytkach beczułki i skrzynki z wódką i winem. Codziennie przedostawało się przez granice tysiące i dziesiątki tysięcy galonów napojów alkoholowych, aby przez ręce sprytnych handlarzy dostać się do gardeł spragnionych obywateli gwałtownie osuszanych Stanów. Ceny wódki doszły do zawrotnej wysokości — za kieliszek zwykłej żytniówki kanadyjskiej płacono w knajpie po dolarze, a nierzadko i więcej. Ceny te jednak nie odstraszały amatorów kieliszka. Narzekali, mruczeli, odgrażali się, ale pili i płacili. Ostatecznie zapotrzebowanie było tak wielkie, że przemycane z zagranicy napoje ani w części nie wystarczały do pokrycia go.

Wówczas powstały tajemne domowe gorzelnie. W piwnicach, na strychach, w stodołach lub kurnikach stawiano beczki na zacier i wszelkiemi sposobami próbowano wytwarzać upragniony alkohol, — z żyta, kukurydzy, buraków, z owoców suszonych i cukru. Nieudolne to były próby i często kończyły się wyrzuceniem zacieru i całego przyrządu do pędzenia spirytusu, ale z biegiem czasu ludzie ponauczali się dobierać odpowiednie składniki i mieszać je w właściwym stosunku, poznali tajemnicę alembiku i poczęli wyrabiać to, co miało zastępować wódkę.

Nieudolnie sporządzane aparaty destylacyjne, niewłaściwy materjał na kociołki i rurki, lub nieodpowiedni sposób przyrządzania zacieru sprawiały, że płyn uzyskany z tych domowych tajnych gorzelń, jakkolwiek pod względem mocy równał się wódce odpowiednio destylowanej, zawierał składniki trujące i wielce szkodliwe ludzkiemu zdrowiu. Nie zważali jednak na to przygodni gorzelnicy domowi, bo trudy ponoszone przy pędzeniu samogonki sowicie im się opłacały. W początkach rozwoju domowego gorzelnictwa płacono bowiem za galon samogonki od trzydziestu do czterdziestu dolarów, a koszt jej zrobienia wynosił najwyżej dolara. Pędzono więc potajemnie truciznę i zatruwano nią tysiące ludzi. Ale ani tak wysokie ceny, ani liczne ostrzeżenia w gazetach i odezwach Ligi, nie odstraszały ludzi od picia samogonki, zawie-



Na zdjęciu widzimy pięknie wykonany afisz propagandowy, wydany w Japonji dla zachęty do wzięcia udziału w berlińskiej Olimpjadzie.

rającej oprócz smacznej części alkoholu wszelkie nieczystości i szkodliwe oleje, powodujące w wielu wypadkach śmierć lub ślepotę. Pragnienie wódki stawało się coraz większe i coraz szersze masy społeczeństwa obejmowało.

Były nawet wypadki, że spragnieni obywatele wypijali całemi butelkami najrozmaitsze lekarstwa i preparaty kosmetyczne, zawierające jakąś część alkoholu. Ludziom już nie chodziło o to co piją, aby tylko pić alkohol, bez względu na smak jego i szkodliwość dla zdrowia. Nauczono się odkażać zwykły spirytus denaturowany, używany zwykle do palenia lub jako przymieszki do farb i lakierów. Sprzedaż tego spirytusu podwoiła się, jak podwoiła się i potroiła sprzedaż lekarstw w rodzaju anodyn (krople Hoffmana).

Z miast i miasteczek rozszerzyło się tajemne domowe gorzelnictwo do odległych siedzib rolników, gdzie wyrób wódki był siłą rzeczy bezpieczniejszy od wykrycia. Tysiące ludzi porzuciło zajęcia w fabrykach i poświęciło się wyłącznie wyrabianiu wódki lub przemytnictwu, albo handlowi napojami alkolowemi.

Nie pomagały liczne rewizje w domach, aresztowania, procesy i kary nakładane na przestępców prohibicyjnych. Nie pomagały grzywny i kary więzienia. Tajny przemysł gorzelniany rozwijał się z każdym dniem, ulepszał się i potężniał.

Zatraciło się w ludziach poczucie poszanowania prawa i ustawy. Picie wódki stało się modne i dotarło tam, gdzie w czasach przed-prohibicyjnych zaledwie ze słyszenia było znane. Weszła w życie moda noszenia przy sobie płaskich flakonów napełnionych wódką i wzajemnego częstowania się zakazanym płynem. Pijaństwo coraz szerzej rozpościerało się, szczególnie w domach ludzi, którzy trudnili się wyrobem wódki. Pili sami fabrykanci, piły ich żony i dzieci.

Okazało się, że łatwiej było uchwalić zakaz wyrobu i sprzedaży alkoholu, niż utrzymać ten zakaz z mocy. Zaroiły się więzienia skazańcami za przestępstwa prohibicji. W całym kraju zawrzała zacięta walka strażników prohibicji z łamiącą ustawę ludnością — walka, kosztująca kraj miljony dolarów rocznie.

A na podłożu prohibicji powstał nowy, jedyny w swoim rodzaju bandytyzm, na który w polskim języku niema właściwego wyrazu — bandytyzm zwany w Ameryce „highjacking". Na tem też podłożu wyrosła potęga królów podziemnego świata, w rodzaju Diamondów, Capone'ów i wielu innych potentów przemytnictwa i zbrodni.

Handel zakazanemi napojami i tajemny wyrób wódki porobił tysiące bogaczy z ludzi, którzy wybrali ten rodzaj procederu za drogę do szybkiego zbogacenia się i potrafili skutecznie ukrywać swoją działalność przed prawem lub umieli zapewnić sobie bezkarność częstemi i obfitemi łapówkami, dawanemi właściwym urzędnikom we właściwem miejscu i czasie. Zdarzały się wypadki, że nawet wyżsi urzędnicy policji lub agenci prohibicyjni byli w po-



Bardzo ładne zdjęcie z kalifornijskiego wybrzeża. Urocze panie w ten oto wesoły sposób zabawiają się pod palącemi promieniami słońca.

rozumieniu z przemytnikami lub handlarzami wódką i ciągnęli z nich kolosalne dochody za milczenie lub zgoła otaczanie ich urzędową opieką.

W tych to czasach powstała w głowie pewnego większego handlarza przemycanemi napojami myśl, że sprowadzanie wódki z zagranicy jest bardzo kosztowne i ryzykowne, i że stokroć korzystniej i wygodniej byłoby zacząć się na innego handlarza lub przemytnika na wielką skalę, i w chwili, gdy wiezie już na terytorjum Stanów Zjednoczonych wielki transport przemyconego towaru, odebrać mu poprostu i sprzedać na własną rękę. Myśl ta spodobała mu się ogromnie i nie zwlekając, wprowadził ją w czyn.

Zebrał kilku odważnych, nic mających nic do stracenia bandytów, urządził z nimi zasadzkę na znajomego sobie handlarza i pod grozą rewolwerów odebrał mu spory transport wódki i kosztownych win. Udało się nadspodziewanie. Obrabowany, nie mogąc zwrócić się do policji ze skargą, nie widział innego sposobu powetowania sobie straty ponad podobne obrabowanie innego znów handlarza. Zbierał więc swoich zaufanych ludzi i napadał na drugiego współzawodnika w zakazanym handlu.

Ostatecznie przyszło do tego, że każdy transport przemycanych napojów musiał być wieziony pod silną eskortą całej gromady ludzi, uzbrojonych już nietylko w rewolwery, ale w karabiny i kulomioty i wszelkie inne rodzaje broni palnej. I to jednak nie zawsze ochroniło wieziony transport, gdyż napastnicy także zbroili się niegorzej od napadanych i jeżeli byli liczebnie silniejsi, staczali krwawe bitwy i po trupach eskorty zabierali łupy i odstawiali tam, gdzie polecił im człowiek, stojący na czele szajki.

Zawrzała tedy walka między bandami rabujących się wzajemnie przemytników i handlarzy wódki. Obficie lała się krew ludzka, szczególnie w okolicach wielkich miast Stanów Zjednoczonych, jak Chicago i New York, gdzie herszto wie szajek handlarzy wódką stali na czele tak znacznych sił zbrojnych, że byli w stanie teroryzować już nietylko swoich przeciwników, ale poprostu zmonopolizowali cały handel zabronionemi napojami i zmuszali nabywców do kupowania nie u strony konkurencyjnej tylko u siebie.

Zdarzało się, że do knajpy, o której wiedziano, że można dostać w niej wódkę lub prawdziwe, nie pozbawione alkoholu piwo, wchodziło kilku drabów, brało właściciela na bok i stawiało mu proste pytanie:

— Od kogo kupujesz swój towar?

— Cóż was to obchodzi? — odpowiadał zrazu zapytany.

— Tylko tyle, że od tej chwili masz kupować od tych, których my ci wskażemy. Inaczej czeka cię niespodzianka... — przyczem pokazywali mu dyskretnie lufę rewolweru, dawali do zrozumienia, że w razie oporu nie zawahają się ułatwić mu podróży na tamten świat.

Tak zagadnięty zwykle ulegał i stawał się stałym klientem danej szajki.

Biorąc pod rozwagę kolosalne ilości spożywanych w wielkich miastach napojów alkoholowych, nie można dziwić się, że herszto wie band, pomimo olbrzymich wydatków na utrzymanie zbrojnych szajek, pomimo licznych i wysokich łapówek, któremi przekupywali przedajnych urzędników policji i nieuczciwych agentów prohibicyjnych, gromadzili olbrzymie bogactwa i w niedługim czasie stawali się miljonerami.

Nazwiska i zbrodnicza działalność tych ludzi znane były władzom sądowym i policji, ale w bardzo rzadkich wypadkach można było pociągać ich



Ekscentryczna Ameryka wprowadza do mody coraz to nowe kaprysy. Między innemi nakazała pięknym paniom tatuować sobie plecy w kolorowe kwiaty i wzory. Rozkaz Pani Mody Amerykanki przyjęły z uznaniem i chętnie, jak to widzimy na zdjęciu, poddają się zabiegom modnego upiększania, aby potem na plaży budzić podziw i zainteresowanie.

do odpowiedzialności. Jeżeli policja aresztowała kogoś z tej sfery, był to napewno pionek, używany do ślepego wypełniania rozkazów i poleceń herszta, który w przepysznym apartamencie, często nawet z odległości setek mil, knuł dalsze plany i kierował swą armją zbirów i rewolwerowiczów, gotowych na każde jego skinienie zamordować nie jednego, ale całą grupę ludzi z przeciwnego obozu, co kilkakrotnie się zdarzyło w New Yorku i Chicago.

Grzmiały gazety na bezsilność policji, zjeżdżali się uczeni profesorowie kryminalistyki na wspólne narady, jak zapobiec dalszemu rozwojowi zbrodniczości, odbywały się zgromadzenia prawników i policjantów całego kraju, radzono, oburzano się, gadano i pisano, a szajki bandycko-przemytnicze grasowały coraz śmielej, z coraz większą pewnością siebie, drwiąc w żywe oczy z policji i wszelkich władz. Hersztowie zaś tych band, nietykalni, bo rozporządzający miljonami, otaczali się przyboczną strażą uzbrojonych swych podwładnych, jeździli pancernemi samochodami i obawiali się tylko i jedynie śmierci z rąk członków innej bandy, podlegającej rozkazom drugiego herszta, który chciał zagarnąć dla siebie całe terytorjum danego miasta i sam tylko ciągnąć olbrzymie dochody z zakazanego handlu.

Nie było dnia, żeby pisma nie donosiły o zamordowaniu tego lub owego członka przemytniczej bandy. Często w biały dzień podjeżdżał pod drzwi jakiegoś sklepu czy prywatnego domu samochód, wysiadali z niego uzbrojeni ludzie, czasem zamaskowani, częściej bez masek, z najzimniejszą krwią pakowali w upatrzoną ofiarę kilka lub kilkanaście kul, posługując się przeważnie małym systemem karabina maszynowego, i najspokojniej odjeżdżali, nie molestowani przez nikogo. Bo i cóżby wreszcie wskórał pojedyńczy policjant, choćby był świadkiem morderstwa i chciał aresztować zbrodniarzy? Byłaby poprostu jedna ofiara więcej, a sprawcy mordu tak czy owak pozostaliby bezkarni.

Świat cały z podziwem i niedowierzaniem czytał wiadomości o tych wojnach butlegerów, jak nazywają w Ameryce handlarzy wódką. Nie przypuszczano, by te wieści w części nawet mogły być prawdziwe, aż wreszcie musiano uwierzyć w to, co wszystkim poza granicami Stanów Zjednoczonych wydawało się niepodobieństwem.

A gdy gazety całego świata rozniosły wiadomość o pogrzebie jednego z herszów bandyckich, zamordowanego przez nasłanych zbirów przeciwnego obozu, pogrzebie tak wystawnym, że chyba królowie wystawniejszych nie mieli, gdy ujrzano zdjęcia fotograficzne stosów wieńców i kwiatów, wiezionych na osobnych samochodach za trumną zamordowanego, a kosztujących dziesiątki tysięcy dolarów, wzmógł się jeszcze podziw świata, że w dwudziestem stuleciu, w kraju cywilizowanym i kulturalnym mogą dziać się podobne rzeczy.

A walka prohibicji z przemytnictwem i domowym wyrobem wódki trwała dalej. Mnożyły się zastępy agentów i strażników prohibicyjnych, niezliczone miljony szły na podtrzymywanie osiemnastego dodatku do konstytucji, walka wrzała nietylko na lądzie, lecz i na morzu. Potworzyły się specjalne flotyle przemytnicze, które dowoziły zakazane trunki do brzegów Stanów, a przeciw nim powstała flota prohibicyjna, składająca się z uzbrojonych statków, które krążąc po wodach okalających brzegi, śledziły i rewidowały wszelkie podejrzane łodzie i okręty. Dochodziło do poważnych starć między przemytnikami a „suchą" flotą, do prawdziwych bitew morskich, staczanych według wszelkich prawideł taktyki wojennej z udziałem armat i najnowszych wynalazków wojennych.

Tak więc prohibicja dała wcale niespodziewane wyniki. Zamiast wykorzenić pijaństwo, podziałała wprost przeciwnie, bo doprowadziła do tego, że użycie napojów alkoholowych dotarło wszędzie, nawet do młodzieży szkolnej, do internatów uniwersyteckich i wyższych szkół, i to nietylko do szkół męskich, ale nawet do zakładów naukowych dla panien. A ponadto prohibicja mocno zachwiała poszanowaniem prawa i władzy w Stanach Zjednoczonych, dała początek szerokiej fali zbrodniczości, która zalała kraj cały i spowodowała powstanie nieznanego dotychczas, nowego rodzaju przestępców.

Przestały wpływać do kas rządowych i municypalnych opłaty za licencję na prowadzenie szynkowni, co siłą rzeczy spowodowało podwyższenie podatków, gdyż sumy, ściągane jako kary za przestępstwa prohibicji, nie wyrównywały luki, stworzonej brakiem wpływów z licencyj. Ponadto kraj musiał wydawać ogromne sumy na utrzymanie armji agentów prohibicyjnych i „suchej" floty, mającej przed sobą zadanie „osuszania" Stanów Zjednoczonych od strony morza.

I stała się rzecz dziwna, a zgoła nieprzewidziana przez twórców i zwolenników ogólnej prohibicji. Oto właściciele szynków, którzy w początkach zajadle walczyli z Ligą przeciw-szynkarską i wszelakiemi sposobami starali się nie dopuścić do uchwalenia prohibicji, po kilku miesiącach trwania ustawy stali się gorącymi jej zwolennikami i pozornie tylko narzekali na prohibicję. Okazało się bowiem, że większość ludności nie miała najmniejszego zamiaru wyrzeczenia się wódki i piwa i sprzedaż tych napojów kwitła jak za dawniejszych czasów z tą tylko różnicą, że ceny były wyższe i sama sprzedaż odbywała się potajemnie, a raczej pod pozorami tajemnicy, gdyż ci, którzy mieli pilnować, by „suche" prawo wszędzie przestrzegano, łatwo dawali się przekupić i pobierali wysokie opłaty od szynkarzy i sprzedawców zakazanych napojów. Łapownictwo rozwinęło się do niebywałych rozmiarów, i to nietylko w szeregach niższych funkcjonarjuszów władz, ale i wśród wysokich

urzędników policji i władz administracyjnych.

Na drodze do miljonów

Huczno i gwarno bywało w „Rajskim kąciku“ w kilka miesięcy po wejściu prohibicji w życie. Co wieczór napływały z New Yorku tłumy gości, spragnionych zakazanych płynów i hulanki, ochoczo bawiły się często do białego dnia, przelewając obfity strumień dolarów do kieszeni Hardena. Każdy dzień, a raczej noc przynosiła setki dolarów zysku i Harden razem z coraz bardziej chciwą Gretą z lubością oczekiwał chwili, kiedy dosięgnie upragnionej sumy miljona. Chwila ta była, zdaniem obojga małżonków, niedaleka.

— Doskonale idzie — mówił Harden do Grety, przy obliczaniu codziennego dochodu. — Niech żyje prohibicja!

— Nieźle — odpowiadała mu żona. — Ale co będzie, jak wyczerpią się nasze zapasy? Skąd weźmiemy świeżych? Czy pomyślałeś o tem?

— Na razie wystarczy nam na jakiś czas, a potem, zobaczymy... Tak czy owak będzie można dostać od przemytników, a to w każdym razie opłaci się.

— Od przemytników? Hm... z tego co słyszałam, wiem, że skórę zdzierają. Każą sobie płacić niemożliwe ceny za każdą butelkę wódki, sprowadzanej z Kanady czy Anglji, tak, że nie opłaci się sprzedawać na kieliszki, choćby po dolarze.

— Więc cóż zrobić? — zasępił się Harden. — Bo przecież nie myślę zamknąć budy i brać się do czego innego.

Greta uśmiechnęła się z politowaniem.

— Któż mówi o zamknięciu? — spytała, patrząc na męża. — Czy nam tu źle? Ale ja mam inny projekt, tyczący naszego interesu, projekt, mojem zdaniem bardzo korzystny i zapewniający ogromne pieniądze w niedługim czasie.

Harden spojrzał zaciekawiony.

— No? — zapytał krótko.

— Tyle tylko, że zamiast kupować przemycany towar od bandy rabusiów, powinniśmy sami sprowadzać z zagranicy, i to nie małemi ilościami, ale na wielką skalę. Jestem pewna, że taki interes sowicie by się opłacał, lepiej niż sprzedawanie na kieliszki.

— Być może, — odparł Harden — ale też i ryzyko większe, a co do mnie, — nie mam ochoty narażać własnej skóry na niebezpieczeństwa, na jakie narażają się ci, którzy trudnią się przemycaniem wódki.

— Masz rację — odpowiedziała. — Ja też nie myślę o tem, byś ty sam jeździł po towar. Będą od tego inni, trzeba tylko interes zorganizować i kierować nim. Powiem, że sprzykrzyły mi się już te wieczne wizyty agentów, szeryfów i wszelkich innych wydrwigroszów, którym stale trzeba się opłacać, żeby uniknąć rewizji i odpowiedzialności. Weźmy się do hurtownego handlu, a stokroć lepiej na tem wyjdziemy, bo inna rzecz sprzedawać codziennie po kilkanaście butelek na kieliszki, a inna sprzedaż odrazu kilka



Niemiec, Hans Woellke, uzyskał w rzucie kulą wspaniały wynik — 16,54 metra. W historji niemieckiego sportu wynik podobny nie był jeszcze notowany.

tysięcy kwart z zarobkiem najmniej sto procent...

Harden zamyślił się głęboko.

— Pomyślę o tem — rzekł po chwili. — Uważam, że twój projekt jest niezły, chodzi tylko o dobranie właściwych ludzi, którzy znają się na tem i zechcą pracować dla nas.

Tego jeszcze dnia wyjechał do New Yorku i odwiedził Gerbera.

— No i cóż, stary? — rzekł po przywitaniu dawnego swego spólnika karcianej spelunki i wykonawcy zbrodni na Wintersie. — Czy boczysz się jeszcze na mnie?

Gerber obrzucił go podejrzliwem spojrzeniem, przymrużył oko i zapytał ironicznie:

— Czy może przywiozłeś mi resztę pieniędzy za owe kamienie?

— Głupiś, Gerber — odrzekł Harden. — Dostałeś wszystko co ci się należało i lepiej będzie, gdy nie będziesz przypominał tamtej sprawy.

— Tak?... A cóż cię do mnie sprowadza? Bo nie przypuszczam, że tylko na przyjacielską pogawędkę raczyłeś się do mnie pofatygować!

— Interes. Wielki, ogromny interes. Interes, na którym obydwaj możemy stać się bogaczami w niedługim czasie.

— Słucham. Tylko zapowiadam ci zgóry, że nie uda ci się okpić mnie drugi raz.

— Jak idzie twój szynk w tych czasach?

— Dlaczego pytasz o to?

— Chcę wiedzieć, czy knajpa przynosi ci jakie takie dochody.

— Rozmaicie. Mogłoby być lepiej. Już kilka razy płaciłem karę za sprzedaż wódki i to mnie rujnuje. Przytem trzeba opłacać się policji, żeby nie nachodzili...

— A widzisz. Otóż mam plan zorganizowania wielkiego interesu, na którym będziemy mogli zarabiać tysiące, bez narażania się na kary i łapówki dla policjantów.

— Jakiż to plan? Jeżeli potrzeba do niego pieniędzy, możesz mnie wyłączyć, bo mam wprawdzie jakieś dwa tysiące dolarów, ale ani myślę ich ryzykować.

— Nie potrzeba mi twoich dwóch dwóch tysięcy. Pieniędzy ja dostarczę. Twoją rzeczą będzie postarać się o odpowiednich ludzi i kierować ich działalnością.

— Jaką działalnością?

— Powiem ci w niewielu słowach. Dotychczas ja, ty i inni właściciele knajp albo mamy stare zapasy wódki i sprzedajemy je na kieliszki, albo ich nie mamy i musimy kupować od przemytników i płacić im ogromne ceny.

— Niby tak. Ja właściwie zapasów żadnych nie miałem i nie mam. Od pierwszej chwili płacę po pięć dolarów za butelkę...

— Widzisz. Dlaczegoż mamy płacić takie ceny, kiedy sami możemy zająć się przewożeniem wódki w wielkich ilościach i hurtowną sprzedażą? Przypuśćmy, że kupimy w Kanadzie czy gdzieindziej tysiąc butelek po dolarze i przewieziemy do New Yorku. Już nie mówię, żeby brać po pięć dolarów, ale choćby po trzy za butelkę. Na tysiąc butelkach po dwa dolary zysku. Koszty przewiezienia wyniosą najwyżej pięćset, zostaje półtora tysiąca czystego zysku. Mówię o tysiącu tylko dla przykładu, bo jeżeli zorganizujemy odpowiedni sposób przewożenia, — na każdy transport będzie można przywieźć najmniej pięć tysięcy butelek. Pomyśl jakie zyski!

— Wcale nieźle. A jakiż byłby mój udział w dochodach?

— Czwarta część czystego zysku.

— Możnaby najmniej dwa razy na tydzień przywieźć po kilka tysięcy. Nieźle, wcale nieźle — mruczał pod nosem Gerber, obliczając w myśli przypuszczalne zyski.

— Wcale nieźle. A jakiż byłby mój udział w dochodach?

— Czwarta część czystego zysku.

— Możnaby najmniej dwa razy na tydzień przywieźć po kilka tysięcy. Nieźle, wcale nieźle — mruczał pod nosem Gerber, obliczając w myśli przypuszczalne zyski.

— Chodzi oto, czy potrafisz znaleźć sześciu odważnych i zdeterminowanych chłopaków, którzy nie zawahają się w danej chwili robić użytku z rewolwerów. Rozumiesz?

— Niby tak. Takich mógłbym znaleźć, ale trzeba im dać, żeby im się opłaciło.

— Naturalnie. Każdy z nich dostanie po sto dolarów od transportu. Samochody ciężarowe dostarczą, a ty już musisz załatwić wszystko, czego trzeba. Możesz wygodnie porozumieć się z jakimi strażnikami na granicy Kanady, chociaż wolałbym żeby wynaleźć takie przejście przez zieloną granicę, żeby nie trzeba z nikim dzielić się zyskami. Pomyśl o tem, i jeżeli zgodzisz się być moim pomocnikiem i zastępcą, że tak powiem, dowódcą ludzi, którzy będą dla nas pracować, daj mi znać. Przyjadę i omówimy szczegóły.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BRESZKO - BRESZKOWSKI

2)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

3. Ciernista droga

Tylko obecność żywego człowieka odstraszała wielkie, brzęczące muchy, o sino - stalowej barwie. Specjalny gatunek trupich much...

Ammalat - Chan stał wpatrzony w obu żandarmów: i tego, który utknął twarzą w piasku, i tego, który leżał nawznak z wyszczerzonemi zębami i z wielką, jak dojrzała czereśnia, dziurą między brwiami.

A słońce równą obojętnością osmalało swoim rozpalonym tchem nieruchomych na wieki żandarmów i stojącego nad nimi człowieka w takiem niezwykłem, jak, na to miejsce i okoliczności ubraniu, zakurzonem i wymiętoszonem.

Tym razem szatan wysunął z drwiącą miną swój ognisty język nie do niego, a do tych metysów w żandarmskich mundurach.

Tym razem! A dalej?... Pustynia jeszcze nie wypowiedziała swojego ostatniego słowa. Ranny żandarm wróci i doniesie o wydarzeniu. Barbasan gotów rzucić cały szwadron wślad za wymykającym się zbiegiem...

Ale narazie Ammalat - Chan żyje i odczuwa to każdym mięśniem, każdem uderzeniem serca... A mogło być inaczej... I byłoby...

Niedoświadczenie metysów zgubiło ich i uratowało go...

Gdyby wszyscy trzej zeszli z koni, przypadli do ziemi i ostrzeliwali go ze swych karabinów, Ammałat, podziurawiony jak sito, poległby na miejscu, a jego głowa dostałaby się w ręce Barbasana, jako znak zwycięstwa...

Ammałat miał wielką ochotę poszperać w kieszeniach żandarmów, gdzie napewno znalazłby... papierosy, ale powstrzymało go uczucie odrazy... Z tych samych powodów nie wziął słomkowego sombrero, by uchronić głowę od porażenia słonecznego.

Na jedno sobie tylko pozwolił: zdjął z leżącego twarzą do ziemi żandarm aluminjową manjerkę, obszytą suknem. Odkręcił przykrywkę. Na dnie było trochę wody. Starczyło jednak na zaspokojenie pragnienia — co za nieludzka rozkosz!... — i na to, by zmoczyć białą, jedwabną chusteczkę, wyjętą z wewnętrznej kieszeni smokinga. Mokrą chusteczkę Ammałat obwiązał swoje czarne włosy w ten sposób, jak to robili dawni piraci i robią teraźniejsi bandyci hiszpańscy.

Karabin jest mu niepotrzebny. Zbyteczny ciężar. Jeszcze siedem naboi ma w rewolwerze.

Ruszył dalej...

Trupie muchy natychmiast obsiadły zdobycz.

A potem, przeszedłszy kilkaset metrów, zbieg ujrzał wysoko nad sobą stado orłów ścierwożernych. Niezrozumiałym instynktem wyczuły zdobycz, będąc niewiadomo jak daleko! Ich uczta potrwa do zachodu słońca... A wtedy przepędzą ich szakale... I do rana pozostaną tylko dwa do cna objedzone szkielety. Słońce je wybieli i wcisną się w piasek, jak zagadkowe hieroglify. Hieroglify pustyni, streszczone, ostrzegawcze...

Instynkt, taki sam, jak u skrzydlatych drapieżników, nie omylił zbiega, który wyszedł wprost na studnię, wykopaną przez wędrownych Indjan. Ale spotkało go tam zupełne rozczarowanie: nie można zgasić pragnienia! Na głębokości przeszło metra, na samym dnie było trochę brudnej, mętnej wody, pełnej małych żab...

A pragnienie targało wnętrznościami. On sobie przypomniał, że jego ziomkowie, stepowi jeźdźcy, oszukiwali na krótko pragnienie, biorąc do ust złotą monetę... Szlachetny metal dawał ułudę świeżości...

On niema złotej monety, ale zastąpić ją może złota papierośnica...

Długo oblizywał ją wyschniętym językiem. Poczuł w spalonych ustach i wewnątrz pewne odświeżenie...

Bodziec pierwszych godzin ucieczki i bodziec niedawnej walki z żandarmami Barbasana przestał działać. Napięcie nerwów ustąpiło przed śmiertelnem zmęczeniem.

Niech sam Barbasan go ściga z całą swoją armją, niech go podda najwymyślniejszym torturom, brak mu sił do dalszego dźwigania zmęczonego, ociężałego, zbolałego ciała...

Znużenie ciągnęło go na ziemię.

Ammałat upadł na piasek i zasnął natychmiast... To nawet nie był sen, a długie omdlenie...

A gdy się ocknął, słońce dotykało już równej linji horyzontu i było tak samo wielkie, jak rano, inną tylko miało barwę...

Będąc często w położeniu tropionego zwierza, zbieg odrazu zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje!

Pierwszą jego myślą było: naprzód!

Ale ciało, które było jeszcze w niemocy omdlenia, nie zaraz poddało się mocy ducha...

Wstał, wyprostował się, spojrzał dookoła. Była godzina wieczornej modlitwy. Znowu padł na kolana, zwrócony do Wschodu, do Mekki z jej grobem Proroka i minaretami. Zamknął oczy i, rytmicznie kołysząc się całem ciałem, powtarzał w ojczystym języku modlitwę ojców.

Odświeżony snem i modlitwą, Ammalat już drugą noc szedł w bezkresach pustyni, która coraz głębiej wciągała go w siebie...

Nazajutrz Ammalat zapomniał o zasadzie mądrej oszczędności i zjadł cały swój zapas czekolady. Pragnienie sprawiało mu straszne cierpienie. Złota papierośnica nie była już w stanie oszukać pragnienia nawet na krótko... a po drodze nigdzie nie było ani strumyków, ani rzek, ani studni...

Lakierki zamieniły się w strzępy. Nie były już nawet podobne do obuwia... Ale wyrzucić ich nie można: piasek bowiem przechodził miejscami w kamieniste przestrzenie z kłującą roślinnością.

Ku chyłkowi dnia spotkał pierwszego człowieka. Był to, jadący na mule, stary Indjanin, owinięty w pasiaty koc...

Nadzieja wstąpiła w Ammałata: jeździec ma napewno tykwę z wodą. Za kilka łyków Ammalat odda mu swoją pustą już papierośnicę i wszystkie pezo!

Lecz Indjanin, skoro tylko zauważył, zdaleka jeszcze idącego, zaczął bosemi nogami uderzać swojego muła i galopem uciekł w przeciwnym kierunku... Miał w tem swoją rację. Spotkanie człowieka w pustyni wróży raczej coś złego, aniżeli dobrego, a zwłaszcza, jeśli nieznajomy jest człowiekiem białym...

Ucieczka Indjanina była dla Ammalata niemałą przykrością. Zaczął powątpiewać z przerażeniem, czy dojdzie do siedzib ludzkich... Może się stać tak samo ofiarą orłów i szakali, jak ci dwaj żandarmi... Mimo to będzie szedł tak długo, aż wyczerpanie zwali go z nóg, by już więcej nigdy nie powstać...

Równina piasków przeszła powoli w falistą miejscowość, pokrytą skarłowaciałą roślinnością. I tędy przechodził ze swoją zwycięską dywizją. Stąd już nie dalej, jak pięćdziesiąt kilometrów do Nowej Kartaginy, stolicy Murcji.

Pięćdziesiąt kilometrów!

Dla jego spuchniętych, zdartych nóg, przy tem wyczerpaniu, pustym żołądku i wyschniętych ustach, ta przestrzeń jest tak samo beznadziejna, jak droga do księżyca...

Ammałat przypomniał sobie, że w tych krzakach są zające, które wyskakiwały spod samych nóg kawalerzystów, nie bojaźliwie, nie wiedząc, co to człowiek.

Przygotował rewolwer. Niech tylko który wyskoczy, a on już nie spudłuje... Wypiwszy ciepłej zajęczej krwi, upiecze swoją zdobycz myśliwską i podje sobie do syta. Ma do dyspozycji trzy zapałki, gdyż dotychczas korzystał z monokla przy zapalaniu papierosów, a suche gałązki cały czas trzeszczą pod nogami, tak jest ich dużo.

Ale, niestety, tym razem nie wypłoszył ani jednego zająca. Tak samo się nie udało jak z tym Indjaninem.

Oto znajomy pagórek, na nim krzyż, monumentalny, ciosany z granitu na granitowym cokole... Chrystus w cierniowej koronie... Ugięte, suche, ascetyczne kolana... Jak i kiedy wyrósł ten święty granit wśród bezpłodnej i dzikiej pustyni?...

Może jeszcze w epoce konkwistadorów? Może zwycięski i surowy Pizarro postawił ten krzyż na sławę katolickiego kościoła?... A może wtedy tu nie było tak dziko i pusto?...

Porwany natchnieniem Ammałat podszedł do krzyża, przytulił twarz do granitowych kolan, objął je rękoma i zastygł w tej postawie...

Czyż Mahomet nie polecił prawowiernym czcić Jezusa jako drugiego po nim, Mahomecie, Proroka, i czy Bóg nie jest jeden?...

Trwał tak kilka minut w zapomnieniu. Wzmocniony, podniesiony na duchu oderwał się od krzyża... Obejrzał się dokoła i dopiero teraz zauważył w tem miejscu ślady ludzkie.

4. Skrawek paryskiej gazety w pustyni

Tu i tam leżały puszki od konserw i wyschnięte niedopałki cygar. Wiaterek podrzucał i trzepotał większemi i mniejszemi kawałkami gazet...

W jego dwudniowej już ucieczce — to całe wydarzenie...

Postanowił nocować pod krzyżem... Za dnia nazbiera suchych gałązek i rozpali ognisko — papier gazetowy posłuży mu do rozpalenia. Będzie podtrzymywał ogień, aż zaśnie, i ta noc nie wymęczy go tak chłodem, jak pierwsza.

Znosił na jedno miejsce arkusze i skrawki gazet, przyciskając je kamieniem... Jeszcze nigdy w życiu tak pieczołowicie się nie odnosił do „drukowanego słowa"... Bo też nigdy tak wiele i znacząco nie mówiło do niego...

Wyrastały przed jego oczyma wspaniałe europejskie stolice, tworzące światową politykę i zalane olśniewającemi światłami teatrów, hoteli, magazynów... Zgrabne kobiety, bogactwo, przepych i rozkosz, wszystko to, od czego jest obecnie tak bezlitośnie odcięty, tak niewypowiedzianie daleki.

Nieznani wędrowcy, którzy pozostawili na tem pustkowiu swój „bilet wizytowy", te puszki od konserw, te gazety, przetłuszczone masłem i pożółkłe od deszczów, poruszyły w nim cały świat, piękny i kuszący...

Serce Ammałata wypełnił smutek po tem wszystkiem, smutek tem większy, że wraz z utraconym światem tracił możność obcowania z ukochaną kobietą...

Jakie szczęście, że dzięki dyplomatycznej nietykalności męża, hrabina Pamela jest przynajmniej zabezpieczona przed atakami Barbasana, który teraz, upojony władzą dyktatorską, napewno stał się jeszcze bardziej bezczelny.

Ammałat zebrał już cały papier i przycisnął go kamieniem. Wyprostowawszy się, zauważył coś, czego przedtem nie widział, mianowicie wmurowaną w granitowy cokół krzyża metalową miskę, a w niej kilka miedzianych i srebrnych monet.

Piękny, rozczulający staro - hiszpański zwyczaj: wędrowcy składają swe ofiary u nóg Zbawiciela, Przenajczystszej Panienki, lub najbardziej czczonego świętego... Nieszczęśliwy wędrowiec, który nic nie posiada, weźmie sobie tę miedź i srebro, jakby darowane mu z niebios.

Ammałat pogrzebał w swoich kieszeniach i, nie znalazłszy ani jednej monety, pozostawił w misce swoją złotą papierośnicę...

Kto ją weźmie? Biedny? Żebrak? Czy nie wszystko jedno?... Ammałat zrobił to w imię Tego, którego on czci, jako drugiego Proroka i który podniósł go na duchu...

A teraz — ognisko! W nocy będzie cieplej i głód łatwiej przetrzymać.

Do zachodu skońca zebrał dużo suchych gałązek — starczy nietylko na ognisko, ale i na zapas.

Trzaskały gałązki, migotały płomienie, unosił się dym, niknąc w ciemnościach nocy... Drżące, różowawe refleksy pełzały po granitowej figurze Zbawiciela, który ożywał jakiemś dziwnem mistycznem życiem, i rozrastał się do kolosalnych fantastycznych form...

Nie, Ammałat nie jest sam! Ogień chroni go przed mniejszymi drapieżnikami: szakalami, hienami, wilkami, a Prorok Issa — przed wszystkiem...

Mimo znużenia i wyczerpania — sen nie morzył jego powiek...

Podtrzymując ognisko, Ammałat przeglądał skrawki gazet, wyłącznie francuskich. Przez te dwa dni wydał się sobie tak zdziczałym, jak gdyby już od dawiendawna nic nie czytał...

Ach, jakże drażniły wyobraźnię te mowy mężów stanu, te wywiady z gwiazdami Hollywood'u, te recenzje music'hollów z zastępami nagich piękności, te sprawozdania z wystaw samochodowych, konkursów hippicznych, balów...

I wszystko to było niedopowiedziane bez początku, bez środka lub bez końca, rozdarte w najciekawszem miejscu.

Nagle, cała krew uderzyła mu do głowy i oparzyła twarz.

Przeczytał:

Osiemdziesięcioletni Ałmaz - Chan, wład... ...kiego chaństwa Mugania, w ostatnich lat... ...bohatersko walczący wraz z emirem bucharsk... ...piaskach Turkestanu przeciwk... ...alej czerwonej armji, przybył do Paryża, gdzie... ...Chan poszukuje swojego rodzonego wnuka Amm... ...go Wysokości udało się przywieźć do Par... ...Skarby mugańskiej dynastji i korony... ...jedynym spadkobiercą tej kolosalnej fortun... ...były dzielny oficer rosyjskiej carskiej gwardji... ...wnuk Ammałat - Chan, który... ...zniknął bez śladu... ...poszukiwany kilka lat... ..lady po nim giną w chwili... ...kupacji Krymu przez armję gen. Wrang... ...Osoby, któreby wiedziały cośkolwiek... ...wnuka Ałmaz - Chana... ...proszone... solidną nagr.... ...Potężny chan Muganji jest jeszcze pełen sił, mimo... ...archalnego wieku. Jego wzrok najlep... ...okuliści...

W tem miejscu urywa się treść notatki w wielkiej paryskiej gazecie.

Wiadomość zelektryzowała zbiega i wzbudziła w nim wspomnienia przeszłości...

Ałmaz - Chan żyje!...

Żyje ten dostojny starzec, który wychował swojego osieroconego wnuka... Ałmaz - Chan i wówczas już był starem! Surowy wychowawca... Na Wschodzie inaczej nie można... Tam już siedmioletniego chłopca sadzają na koń... Jeśli się utrzyma, będzie dzielnym dżygitem, jeśli się zabije — taka jest wola Allacha...

Ałmaz-Chan tak samo postąpił ze swoim wnukiem, spadkobiercą mugańskiej korony... Allach chciał, że wnuk się utrzymał na ognistym rumaku...

Działo się to blisko trzydzieści lat temu! Teraz siedząc przy ognisku w dzikiej pustyni, Ammałat przypomniał sobie, jak młode jeszcze wówczas oczy starego Chana zabłysły gorącą miłością do wnuka:

— Przysięgam na Proroka, że zrobię z ciebie prawdziwego dżygita!...

I oto on żyje! Ałmaz - Chan żyje!... I nie zapomniał o wnuku... Swojem starem sercem rwie się do niego... Czyż nie tak samo zabiło w odpowiedzi serce Ammalata?

Czyż nie jest to nowy grymas szatana — otrzymać tak drogą sercu wiadomość w tych rozpaczliwych warunkach? Przeczytać ją w pustyni na skrawku jakiejś gazety, porzuconej przez kogoś?!...

Niech to jest grymas szatana z jego wysuniętym językiem — płomieniem, ale nad tem wszystkiem widać Palec Boży.

Pod wrażeniem drogich sercu wspomnień, zagrzany ciepłemi promieniami ogniska, zbieg uczuł niewypowiedzianą chęć życia, bezgraniczną chęć ocalenia! Oby tylko nie zginąć, nie stać się ofiarą orlich szponów i szakalich kłów...

Do Paryża!... Do Paryża!...

Hypnotyzował siebie tą myślą. I zahypnotyzowany usnął. Gdzieś daleko wyły szakale... Ale Ammałat ich nie słyszał...

Gdy się zbudził w świetle poranka, tylko garść zimnego popiołu pozostała po ognisku...

Pierwszą jego myślą było:

— Gdzie skrawek gazety?

Kilka chwil obawy, potem mimowolny uśmiech... Jego garść ściskała mocno drogocenny skrawek, z którym przespał w ten sposób przez całą noc. Pieczołowicie schował go do portfelu.

Jeśli po dziesięciu, piętnastu kilometrach spotka ruiny starożytnego miasta, zamieszkałego ongiś przez wymarłych dziś tubylców, to znaczy, że jest na dobrej drodze do Nowej Kartaginy.

A dalej?... Dalej niech się dzieje wola Allacha i mądrego Proroka Issy. Rzucił ostatnie wejrzenie na granitowy krzyż i postać Zbawiciela, jasną, wyraźną już nie taką mistyczną, jak w nocy, w migotliwych promieniach ogniska...

Ammałat zachwiał się, pociemniało mu w oczach... niedobrze się zrobiło... och, żeby tylko móc czemś głód zaspokoić!... Ale czem? Zebrał kilka wyschniętych niedopałków. Ostatnie zapałki poszły na rozpalenie ogniska, ale ma przecież monokl... trzeba tylko poczekać cierpliwie, aż słońce wyżej się podniesie...

Jak szedł, jaka siła pchała naprzód jego zbolałe ciało, także zmordowane, jak i ten smoking, zwisający na nim w strzępach?!

Jedyna siła — rozpacz!

Straszna energja człowieka woli, gwałtownie czepiającego się życia...

Oby tylko nie upaść!... Nie podniósłby się już więcej!... I szedł i szedł dalej, jakby rozdwojony: jego ciało, chwiejące się pod tchnieniem najmniejszego podmuchu, wzrok i mózg pełne widziadeł, halucynacyj... gorączkowych wizyj... obrazów... przywidzeń...

Ktoś kogoś niemiłosiernie ciął w konnym ataku, ktoś rzęził i zgrzytał zębami, jęczał...

Oślepiająco połyskiwały plecy Pameli...

Nagi, wypasiony Barbasan siedział jak Bachus, na beczce, z której potokami lała się gorąca krew...

Rozkołysany las granitowych krzyży, gęsty, jak dżungle...

W tej gęstwinie połyskiwały sinawe płomienie jakichś djabelskich języków, jakichś djabelskich ócz...

I nagle wszystko to zniknęło za ciężką zasłoną kamiennych monumentalnych ruin nieprawdopodobnej wysokości... Takie same nieprawdopodobnie wielkie samochody, namioty, mężczyźni, kobiety... Wszystko to zakotłowało i rzuciło się z krzykiem ku niemu... Aparat skierowany na niego, jak armata... Ale czemu taka krótka lufa?... Dlaczego? Skąd ten nieznośny trzask? Czemu tak niemiłosiernie i głęboko wwierca się do mózgu? Dlaczego ci ludzie są tacy zadowoleni, czemu się cieszą i śmieją?...

Wszystko to się nagle uciszyło, pokryło ciemnością, głęboką, zimną jak śmierć...

5. Widety na pustyni

— Savedra, czyś ty był dobrym toreadorem?

— A czyś ty, Gafani, był w Hiszpanji?

— Byłem.

— Uczęszczałeś na corridę?

— Uczęszczałem.

— Afisze czytałeś?

— Czytałem...

— Wobec tego przysięgam na wszystkie kopuły Toledzkiej Katedry — i bardzo się dziwię! U nas w Hiszpanji słowa „toreador" niema, rozumiesz — niema! I nigdzie niema!

— A w operze „Carmen"?

— Chyba w operze! Po to są opery, żeby tam były same niemożliwości. Krótko ci powiem, zapamiętaj sobie: pojęcie „torrero" obejmuje wszystkich artystów „plaza de toros", jak, naprzykład, pojęcie „wojskowi" obejmuje wszystkie rodzaje broni, piechotę, kawalerję, artylerję. Teraz zaś ci, jednym z których ja byłem, nazywają się „matadorami", albo „espada". To są „premjerzy" całej kwadryli, nie tylko walczący z bykiem, ale kładącej go do swoich nóg. Na twoje zapytanie odpowiem: nie byłem jednym z ostatnich w pierwszej dziesiątce.

— Dlaczego więc w sile wieku porzuciłeś arenę? Dlaczego dobrowolnie wyrzekłeś się powodzenia, sławy, kobiet? Przesyciłeś się tem wszystkiem?

— Po pierwsze, nie zupełnie „w sile wieku", gdyż miałem już blisko czterdziestkę. A powtóre — traciłem już swoją gibkość.

— Ale przecież i teraz jesteś jeszcze dość gibki!

— Tak, na zwykłego człowieka w marynarce, ale nie na matadora. Nie miałem już tej zwinności i zręczności, które dawały mi miejsce w pierwszej dziesiątce. Serce i płuca już nie te były. Ambicja podpowiadała: usuń się, Savedra, usuń się... Jak usuwa się ze sceny śpiewak, który niespostrzeżenie traci głos. Obok mnie wschodziły nowe gwiazdy, nowi matadorzy, nowe bóstwa tłumu. Przejadłem się powodzeniem i sławą, jak słusznie zauważyłeś... I odszedłem, by żyć wspomnieniami o tem, czego nigdy i niczem zastąpić nie można... Tauromachja — najszlachetniejszy, najniebezpieczniejszy, najpiękniejszy sport, jaki kiedykolwiek istniał na świecie!

Pełne smutku przebrzmiały słowa Antonia Savedry, znakomitego w przeszłości matadora, obecnie członka trupy filmowej, odtwarzającego role arystokratów średniego wzrostu.

Ten syn andaluskiego chłopa świetnie grał role hrabiów i hercogów, olśniewając swoją pańską postawą, elegancją manjer i płynnością kroku. A dumna siwiejąca głowa i te prawidłowe rysy wygolonej, charakterystycznej twarzy?...

Ten wykończony typ był synem szlachetnej hiszpańskiej krwi, częstokroć mało różniącej prostaczka od granda. Wygładzony został przez arenę, gdzie matador musi skupić w sobie plastykę baletmistrza z królewskiem, zaiste, dostojeństwem.

Za tę właśnie plastykę baletmistrza, za to królewskie dostojeństwo, za wszystko, czem się odznaczał, Savedra został zaangażowany do paryskiej wytwórni filmowej, której dyrektorem był Pierre O'Donnel, Irlandczyk z pochodzenia, a Francuz od kilku pokoleń.

Gafani z którym rozmawiał Savedra, był nowym, przypadkowym członkiem trupy, zakontraktowanym tu na miejscu w Nowej Kartaginie.

Ten „przypadek" był rezultatem innego „przypadku": Paul Brosse, niezrównany odtwórca ról awanturniczych, nie zdążył nawet wylądować z transatlantyku, który przywiózł całą trupę z Marsylji i w ciągu trzech dni zmarł na żółtą febrę.

O'Donnel był w rozpaczy, albowiem w osobie Brosse'go stracił przyjaciela i niezastąpionego aktora.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

CZY SPOTKA MNIE BURA?

„Czarna Dziewczynka II." Wzruszyła mnie Pani bardzo swoim „wstępem". Pierwszy krok i już zdobyła Pani niepodzielnie moją sympatję. Od dzisiaj jesteśmy przyjaciółkami i żywię nadzieję, że pozostaniemy niemi zawsze?

Ponieważ oprócz mnie, nikt Pani jeszcze nie zna, rekomenduję Panią:

„Czarna Dziewczynka II", to śliczna istota. Posiada ciemne włosy, błękitne oczy, śnieżną cerę i maleńkie usteczka. To zalety zewnętrzne, a wewnętrzne: dobry charakter i miłe usposobienie.

„Czarna Dziewczynka II", szepnęła mi na ucho, że zainteresowała się „Marzycielem z puszcz tucholskich", a ja, zamiast zachować dyskrecję, zdradzam powierzoną mi tajemnicę. Czynię to jednak celowo, gdyż chodzi mi o to, aby „Marzyciel z puszcz tucholskich" napisał do „Czarnej Dziewczynki" liścik — myślę, że za zdradzenie sekretu nie spotka mnie bura?...

PANTA REI

„Duśka". Dawno nie pisałaś, „Dusiu"! I wreszcie przyszedł znowu do mnie Twój liścik, pełen słońca, uśmiechów i barw. Wyśpiewałaś go wprost, swoją poetyczną duszyczką. Dziękuję Ci za niego serdecznie! Co u mnie nowego? „Panta rei" — tak samo, jak u Ciebie, „Dusiu", a pozatem nic nowego. Napisz wkrótce znowu, dobrze? Część listu Twego zamieszczam:

„Wszystkim Czytelnikom z okolic Chełmna, Torunia, Grudziądza i Wąbrzeźna, — zasyłam pozdrowienia i proszę Ich o liściki. Oprócz tego odwzajemniam pozdrowienia i uściski „Iste Wenus", „Tereni z szlacheckiego dworku", „M-Rysi", „Słodkiej Gildzie" — z zapytaniem, czy która z tych Pań jest Pomorzanką — „Lilce" również ślę pozdrowienia i uściski. „Ben Alemu" komunikuję, że nie podał adresu, po otrzymaniu — odpiszę natychmiast. Odwzajemniam jeszcze pozdrowienia: „Pellowi", „Zdobywcy Serc", „Jurkowi z Bydgoszczy", „Ord-Omowi" i „Te-Em". Ponadto zapytuję, czy z tysiącznej „Rodzinki" nie posiada ktoś następujących książek: „Kat Paryski", „Krwawa pani na Czachczycach", „Kartusz", „Hrabia Monte Christo" i „Porwana w noc poślubną." Za wypożyczenie tych książek będę ogromnie zobowiązana."

APEL I PODZIĘKOWANIE

„Będący w nadziei." List wysłałam, gdyż nie znalazły się żadne przeszkody. Apel, oraz podziękowania zamieszczam:

„Angelinie" i „Esterze" dziękuję serdecznie za nadesłane pozdrowienia. Odwzajemniam je naturalnie w pełni.

Pozdrawiam także „Elżunię z Torunia" i zapytuję, czy nie zechciałaby ze mną korespondować? Toruń znam bardzo dobrze i kto wie, czy Panią również nie znam?

A może któraś z Grudziądzanek nawiąże ze mną korespondencję?

Pozdrawiam wszystkie Czytelniczki i Czytelników „Moich Powieści."

CZEKAM CIERPLIWIE

„Romantyczna Sonia". Dobrze! trzymam Panią za słowo i cierpliwie czekam na dłuższy list i jak najmilej pozdrawiam.

LIST NALEŻY PODJĄĆ

„Cormes". List na poste restante został Panu wysłany przez jedną z Pań Sympatyczek „Krainy". Nie rozumiem dlaczego Pan zwraca się po list do naszej redakcji, skoro należy go podjąć na poczcie? Widocznie Pan zawiadomienie moje zrozumiał inaczej? Łączę miłe pozdrowienia.

PISZ DO MNIE ŚMIAŁO

„Blanka". Dlaczego miałabym się nudzić Twoimi listami, „Blanko" i gniewać się na Ciebie? Nie rozumiem, skąd się u Ciebie biorą te skrupuły? Niech Ci wystarczy, że tak samo, jak i Wujek Janusz, tak i ja lubię Twoje liściki i chętnie je czytam. Pisz więc zawsze do mnie śmiało, moja Mała Przyjaciółeczko.

Co do adresu nie domyśla się Pani dobrze. Osoba, o którą się Pani zapytuje, mieszka wprawdzie w podanym przez Panią mieście, ale posiada inne nazwisko.

„Maleńki apel" zamieszczam:

„Uwaga!!! „Ord-Omie"! Czy pamięta Pan jeszcze małą Zosię P. z pobytu na wakacjach w G? Jeśli tak, proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni. Kończąc, ślę pozdrowienia „Giaurowi", „Nieznanemu", p. M. Grzegorskiemu z uznaniem za wierszyki, Ani Wełnicównie, „Dumce", „Białej Uajali", „Małej Mery", oraz „Ryśce D."

DLACZEGO?...

Tadeuszowi z Poznania — poświęcam.

Dlaczego milczysz? mów
Jaka Cię troska dręczy...
Czy boleść dawna znów
Wróciła, by Cię męczyć?...

O czemże myślisz, mów,
Gdzie uśmiech Twój słoneczny,
Czy braknie Ci znów słów,
Słów ciepłych, tak serdecznych?...

Dlaczego oczy Twe,
Tak smutnie patrzą w dal,
Niech usta Twoje drżące
Powierzą mi swój żal...

„Blanka."

GDY ZOBACZYCIE MAŁEGO, SZAREGO SKOWRONKA...

„Skowronek z nad polskiej niwy". Liścik Pani był bardzo krótki, jednakże rozgrzeszam Panią, gdyż wiem, że posiada Pani teraz dużo zajęcia.

Pozdrowienia dla: „Jótka", kogoś z Poznania i dla kogoś z Warszawy — przekazuję, oraz zamieszczam poetyczne zakończenie Pani liściku:

„Pozdrawiam wszystkich Sympatyków „Krainy". Niech Wam się przypomni, gdy zobaczycie rozśpiewanego, małego, szarego skowronka, że w „Krainie" jest także taki skowroneczek, co chciałby swoim świergotem rozweselić każdą smutną duszyczkę."

CIESZĘ SIĘ NAPRZÓD!

„Kuna Leśna". O tem, że list z Sarnówka odebrałam, przekonała się Pani, prawda?

Na uroczystościach gnieźnieńskich nie byłam, ale słyszałam o nich takie same pochlebne zdania, jakie i Pani wyraziła w swoim liście.

Ciekawa jestem, nad czem tak Pani pracuje? Może się dowiem o tem w następnym liście? Proszę, niech mi Pani coś więcej o sobie napisze: jaki Pani prowadzi tryb życia, jaką pracą się zajmuje i czem najwięcej interesuje? Już naprzód cieszę się na te wiadomości!

Życzenie spełniam i odwzajemniam w imieniu Pani pozdrowienia: „Dzieniusiowi z Torunia", „Skowronkowi z nad polskiej niwy" oraz zasyłam: „Waldemu, „Jerzemu", „Kruczowłosemu Królewiczowi" i „Parysowi II."

WARTO SIĘ POKUSIĆ!

„An-Ka". A więc dobrze: apeluję w imieniu Pana do serduszek „płci pięknej" o liściki. Szczególnie zaś do Pań z Gdyni! Apeluję oczywiście z tą myślą, że apel mój nie minie bez echa i ktoś sympatyczny napisze do Pana.

Może „Romantyczna Sonia", może „Czarnulka z Grudziądza", albo „Czarująca Ada"? Warto się pokusić, Drogie Panie, gdyż jak wyczuwam z listu, „An-Ka" ogromnie się Paniami zainteresował! — i... czeka na jakiś odzew.

W ODPOWIEDZI „JADWINI"

„Jadwinia". Dziękuję Ci, „Jadwiniu", za miły liścik. Przyjm ode mnie siostrzane uściski i pozdrowienia. Może mi napiszesz coś o miasteczku, w którem zamieszkujesz? Miasto to jest mi bardzo drogie, bo związane z najmilszemi mojemi wspomnieniami i przeżyciami.

Zakończenie listu Pani oddaję do przedruku:

„Pozdrawiam serdecznie p. Stanisława M. z Ciecierska, „Czarnego Saturna", „Syna Dniestru", „Dysonans", „Jagódkę z Borów Tucholskich", „Cyganeczkę" i „Młodego Urzędnika."

KIEDY?

„Elżunia". W pierwszym rzędzie dziękuję Pani za miłe zdjęcie, które znalazło już miejsce w albumie. Może mi Pani znowu jakieś nadeśle? Ucieszę się bardzo! Zresztą przyrzeka mi to Pani nawet w liście.

Kiedy Pani znowu do mnie napisze? Chyba już wkrótce?

UWAGA „LI Z NAD OLZY"

„Natan" nadesłał na moje ręce następujący apel:

„Hallo! „Li z nad Olzy"! Dziękuję za miłe pozdrowienia i pamięć. Zdawaćby się mogło, że wina po mej stronie — prawda „Li"? Lecz cóż mam robić, gdy listy wysłane na poste restante wróciły spowrotem do mnie i do dziś posiadam te dowody? Czekam na rozwiązanie tej kwestji. Łączę wyrazy sympatji i moc miłych pozdrowień."

POZDROWIENIA

„Dziewczę z krainy burz." Na łamach „Krainy" przesyłam Kochanej Pani tylko pozdrowienia, gdyż resztę podałam już w liście, który onegdaj wysłałam.

PODZIĘKOWANIE

P. T. R. z O. przesyła „Wesołej Mariecie" serdeczne pozdrowienia i dziękuje za otrzymane.

POWTÓRNY APEL

„Majowy Chrabąszcz." Przykro mi bardzo, że apel Pana minął bez echa i nikt do Pana nie napisał. Jednakże sprawa nie przedstawia się najgorzej, gdyż może tym razem apel Pana będzie miał lepszy skutek. „Do dwóch razy sztuka" — mówi się, a zatem:

„Hallo! Tu „Majowy Chrabąszcz"! Zapytuję się powtórnie, czy nie znajdzie się ktoś w „Krainie", który zechce do mnie napisać? Może: „Stefa", „Morowa Sztubaczka", „Wisiałeśniczanka" lub „Samotna Sosenka"?"

„NAPISZ DO MNIE ŚMIAŁO, „MARONIE"...

„Helutka". Dziewczynko Miła! Jesteś jak słoneczko dobra i radosna. Chciałabym Cię serdecznie uściskać za ten kochany, mądry liścik, który przed chwilą odczytałam. Tyle w nim rozsądku i pięknych uczuć i tyle prostoty!

Piszesz mi, „Helutko", że spotkał Cię mały zawód... Współczuję Ci szczerze, Droga Dziewczynko i wierzę, że przetrwasz zmartwienia dzielnie. Życie powetuje Ci napewno tę jedną stratę i kto wie, czy nie w dwójnasób. Dla takich wiośnianych i czarujących istot, jak Ty, „Helutko", życie jest bardzo łaskawe. Napiszesz mi kiedyś, czy sprawdziły się moje słowa, prawda? Przyjm ode mnie jak najserdeczniejsze pozdrowienia i pisz często.

Na zakończenie wypełniam powierzone mi przez Ciebie polecenie:

„Hallo! „Maronie"! Może będzie Ci miło nawiązać ze mną kontakt? Jeżeli tak — napisz do mnie śmiało. Przesyłam Ci pozdrowienia i czekam."

SŁOWA PANI ODCZYTUJĘ ZAWSZE CHĘTNIE

„Ezechela.“ Dziękuję Pani za śliczne życzenia. Odwzajemniam je w pełni. Proszę o jak najczęstsze listy, gdyż słowa Pani odczytuję zawsze chętnie.

Gościcina nie znam, ale nieraz już słyszałam o tej miejscowości. Może mi Pani z łaski swojej, napisze coś o Gościcinie i dołączy do listu jakieś zdjęcia?

DZIĘKUJĘ ZA DOBRE I MIŁE WIADOMOŚCI

„Ryśka D.“ Liścik Twój, „Rysiu“, koloru lilla. przyniósł mi bardzo dobre i miłe wiadomości. Dziękuję za niego!

Najwięcej podobało mi się zakończenie listu. w którym jest mowa o niefortunnej jeździe łódką i złowionym chrabąszczu. Widzę, że bardzo miło urozmaicasz sobie życie, „Rysiu“ i doskonale radzisz we wszystkiem. Przyjm moc pozdrowień i nie zapomnij uściskać w mojem imieniu Leszka i Jerzyka.

PO OTRZYMANIU ODPOWIEDZI ŻALE NIKNĄ

„Eros“. Przydomek, nadany mi przez Pana jest kapitalny, chociaż bardzo miły i stanowiący wielki kontrast z moją osobą. Jeżeli jednak wygodnie się nim Panu „operuje“, proszę. niech Pan się nie krępuje i dowolnie go używa.

Co do dawania odpowiedzi w „Krainie“ ma Pan rację, że nieraz trzeba długo czekać na odpowiedź. Winy jednak po mojej stronie jest n...imniej. Zawsze bowiem muszę pamiętać o tem, że mam w tygodniku tylko dwie strony do dyspozy cji, no a przedewszystkiem przestrzegać tego, aby odpowiadać na listy kolejno. Nie wolno mi jednemu dać wcześniej odpowiedzi, a drugie mu później, lecz zawsze muszę się trzymać tej m ojej jedynej, uczciwej metody, aby nikogo nie w yróżnić, lecz wszystkich traktować jednakowo.

A żal i gorycz?... Zapew nie i to istnieje nieraz wśród Sympatyków. Z chwilą jednak otrzymania od powiedzi, wszelkie urazy i żale mijają i otrzym uję nowe, dobre liściki od tych, co długo musie li czekać na odpowiedź.

Nadesłane zada nia umysłowe przekazałam do odpowiedniego dz iału. Odpowiedź w tej materji otrzyma Pan również dzisiaj, ale na innem miejscu.

A teraz post - scri ptum Pana:

„Dlaczego nie od zywa się „Szara Dziewczynka z Bydgoszczy“, „Słodka Psyche“ i „Pilotka K. M.“?

Serdecznie pozdrawia n „Tycio Tyciusieńką“. „Ryśkę D.“ i „Miljoner kę“.

ZDJĘCIA MOICH S YMPATYKÓW SPRAWIAJĄ MI ZAW SZE RADOŚĆ

„Roześmiana Lu“. Naresz ie przyszła kolej na liścik Pani. Na pierwszy og ń biorę sprawę fotografji bardzo proszę, niech Pani przyśle mi ją jak najprędzej. Zdjęcia n oich Sympatyków sprawiają mi zawsze rados ć, a więc i Pani fotografja ucieszy mnie bard zo.

Za całusy dziękuję i zamieszcza n pozdrowienia:

„Przesyłam pozdrowienia: „Poznań zykowi wśród lasów“ — „Marzycielowi z pod Gniezna“ — „Rybakowi z Helu“ — „Młodem u Technikowi“ — „Leonowi z Warszawy“ — „ Kmicicowi“ — „Rotmistrzowi“ i Romanowi K ora-lowi.

„Melontę vulgaris“, miłośnika sztuki fot o-graficznej. proszę o wymianę fotografji.

„Jasnowłosą Cyrę“ proszę o liścik.

Równocześnie zapytuję, dlaczego „Smutny Edek“ tak długo milczy. Napisz, „Smutny Edku“, a nie pożałujesz.“

Teczka Wujka Janusza

PROSZĘ O DALSZĄ WSPÓŁPRACĘ

„Iwola“. Miłe są Pani wierszyki i takie proste. Mam wrażenie, że nietylko mnie, ale i innym będą się podobać. Na pierwszy ogień poszedł wiersz: „Na wzgórzu“. Następne ukażą się w najbliższych numerach. O dalszą współpracę, proszę Panią jak najuprzejmiej.

W sprawie prenumeraty wysłała już Pani odpowiednie wyjaśnienia — administracja. Zdania. nie przeznaczone dla mnie, oddaję do przedruku:

„Dwom studentkom, „Steni“ i Maryśce“, przesyłam podziękowania za przesłane mi kiedyś pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam“.

NA WZGÓRZU

Na wzgórzu tajemniczy,
Wiśniowy duma sad,
Minione chwile liczy —
Wspomina przeszłość rad.

Idź cichym tam wieczorem,
Wsłuchaj się w sadu szum,
A może rozhoworem
Zdradzi Ci jedną z dum.

A jeśli nie zrozumiesz
Pogwaru w szumie drzew,
To dusza Twa wyczuje
Tajemny, cichy zew.

Postawi Ci przed oczy
To o czem serce śni
Wśród księżycowej nocy:
Żeś sama — sad i Ty!

W poszumie i bezładzie
Niechaj nie płyną łzy...
W wiśniowym, cichym sadzie
Twój sen się słodko śni...

„Iwola“

PIĘKNA INICJATYWA I POŻYTEK DLA DRUGICH

„Marjusz“. Poetą nigdy Pan nie będzie; radzę się wyzbyć Panu w tym kierunku wszelkich nadziei i zabrać do innej pracy. Do pracy, której będzie Pan mógł podołać i którą będzie Pan mógł wykonywać z tem przeświadczeniem, że przyniesie jakiś pożytek innym, a Panu zadowolenie.

Naturalnie mówię o pracy nadprogramowej, poza zwykłemi zajęciami — pracy rozrywkowej. Chętnie służę Panu projektem:

Opierając się na tem, że jest Pan muzykalny i posiada dużo nut, poddaję myśl, przekazywania wszystkich niepotrzebnych Panu nut na rzecz polskiego wychodźctwa. Będzie to ze strony Pana bardzo piękną inicjatywą, która przyczyni się do kultywowania pieśni polskich w szeregach wychodźców polskich i zarazem do szerzenia polskości zagranicą. Dla ułatwienia zadania, załączam Panu adres jednego z redaktorów, prowadzących pismo dla wychodźctwa polskiego w Ameryce, na ręce którego można przesyłać polskie nuty: Redaktor Mieczysław Wasilewski, 97 — 99 So. 18 — th. St. Pittsburgh. Pa. — U. S. A.

Podając powyższe Panu do wiadomości, wyrażam nadzieję, że nie ograniczy się Pan do przesłania mi tylko jednego listu, ale odezwie się znowu kiedyś? Proszę bardzo o to i żegnam Pana serdecznemi pozdrowieniami.

„MALEŃKA“ PROŚBA

„Stella Maris“. Wierszyk bardzo miły, tak samo jak każde zdanie ostatniego listu Pani.

Droga Pani! jestem niewymownie wzruszony tą serdecznością i boję się, że nie zasługuję w pełni na nią. Wielkiem szczęściem, neitylko la Pani, ale w pierwszym rzędzie i dla mnie, o dzie osobista rozmowa z Panią. Cie-bę się już naprzód na tę chwilę. Pewien jestem, szę odobnie, jak słowa listów, tak samo żywe że p Pani znajdą u mnie żywy oddźwięk i słowa ednia rozmowa będzie dla mnie jeszbezpośr ej miłą, niż rozmowa na odległość, cze więc listowna.

Na fotog rafję z letniska czekam z utęsknieniem i w noszę do Pani maleńką prośbę: aby równocześnie z fotografjami nadchodziły i liściki. Tak bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak Pani się czuje na wakacjach, co zdążyła zaobserwować i co najwięcej się Pani podoba. Maleńka prośba, a boję się, że wyda się Pani dużą, za dużą!...

KIEDY...

Kiedy wiosną bzy zakwitną,
Kiedy w gąszczu ptak zanuci,
Kiedy słońce jaśniej świeci —
Wtedy serce się nie smuci.

Kiedy lato złoci zboża,
Kiedy liśćmi szumią drzewa,
Kiedy słońce silnie świeci —
Wtedy w sercu radość śpiewa.

Kiedy jesień liście strąca,
Kiedy wcześniej mrok zapada,
Kiedy słońce krócej świeci —
Wtedy w serce żal się wkrada.

Kiedy zima śniegiem sypie,
Kiedy wicher wściekły jęczy,
Kiedy słońce blado świeci —
Wtedy serce smutek dręczy.

„Stella Maris“

NIE KIEROWAŁEM SIĘ NIGDY ZŁĄ WOLĄ

„Dzinka“. Wszystkie wiersze są dobre. „Ukochaj Bałtyk“ znalazł dzisiaj miejsce na okładce.

Przykro mi bardzo, że moją odpowiedź wytłumaczyła sobie Pani aż tak „tragicznie“. Proszę. niech mi Pani wierzy, że nie było po mojej stronie żadnych uprzedzeń, ani nie kierowałem się nigdy w stosunku do Pani złą wolą. Sądzę, że to krótkie zapewnienie wystarczy Pani?

Przesyłam Pani na zakończenie szczery uścisk dłoni, no i mam nadzieję, że przyjaźń nasza nie zostanie już niczem zakłócona? Dopisek Pani oddaję do przedruku:

„Hallo! „Rom - Marze“! Pragnęłabym widzieć więcej Twych wierszyków w „Moich Powieściach“. Czy uczynisz zadość mej prośbie Ściskam Twą prawicę!

Łączę wyrazy szczerego uznania dla p. Józefa Bojara, a p. M. Grzegorskiemu ślę dużo pozdrowień z „Nieznanego“.

„Incundi agricolae“! Dlaczego nie odpisujesz Maryli O?“

MARYNARZE

E. Gessnerowi — poświęcam.

Na wodach szerokich
Igracie z falami,
Słonko was całuje
I pieści wasze twarze
Smagane wiatrami.

Marynarze! Marynarze!
Dzielni bojownicy —
Mej drogiej Ojczyzny
Północnych rubieży
Codzienni strażnicy!

Czy wiatr ostry wieje,
Czy burza zagraża,
Czy też mgła horyzont zasłania —
Wy zawsze na straży,
Was nic nie przeraża —
Wy pełni zapału — wytrwania.

Marynarzu! Marynarzu!
Pośród lin i żagli
Krzątasz się uparcie —
O! My ci ufamy,
Bo polskie jest morze,
Dopóki marynarz na warcie.

„Dzinka“.

Raj kobiet



Praktyczne sukienki, nadające się do letnich sportów, a szczególnie do spórtu wioślarskiego. Szyjemy je z lnianego płótna.

Kroje powyższych modeli (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. nr. 207 393.

Wioślarstwo

Z różnorodnych i licznych gałęzi sportu, coraz to więcej popularności zyskuje wioślarstwo. Sport to bardzo zdrowy i szlachetny. Kształtuje nietylko ciało, ale rozwija i podnosi ducha. To też młodzież uprawia wioślarstwo bardzo chętnie i gremjalnie zapisuje się do klubów wioślarskich.

O wioślarstwie słyszałam już dużo i dużo czytałam, zawsze jednak byłam ciekawa z jakich sfer rekrutują się wioślarki. Odpowiedź znalazłam niespodziewanie szybko i to podczas tegorocznych, wiosennych regat wioślarskich w P., na których przypadkowo się znalazłam.

Z zainteresowaniem przyglądałam się dziarskiej drużynie młodych wioślarek, które skupiły się nad brzegiem rzeki i sposobiły do wyjazdu. Korzystając z sposobności, zbliżyłam się do nich w pewnej chwili i wszczęłam z pierwszą z brzegu wioślarką, rozmowę. Młoda, bardzo miła panienka, jak się później okazało studentka, jak najchętniej ułatwiła mi trudne zadanie, gdyż szybko dowiedziałam się tego, czego pragnęłam.

A więc wyjaśniono mi, że drużyna wioślarek, do której należała moja przygodna znajoma, rekrutuje się z dziewcząt pracujących w biurach sklepach, kuśnierniach i fabrykach — w środowiskach, gdzie mało słońca, widoku nieba i czystego powietrza.

— Nie uwierzy pani — mówiła z zapałem sympatyczna studentka — jak te zapracowane biedactwa garną się do sportów. Wioślarstwo ma szczególny dla nich urok. Codziennie wieczorem, po ukończeniu zawodowych obowiązków jak mrówki spieszą dziewczynki do swych kajaków i łódeczek, by na wodzie odetchnąć inną atmosferą i innem powietrzem.

— A czy sport ten zbytnio nie męczy, bo przecież przy wiosłowaniu potrzeba pewnego wysiłku ramion? — pytam nieśmiało, bo wstyd mi trochę, że w tej materji jestem takim wielkim laikiem.

— Broń Boże! — zaprzecza żywo zagadnięta — nietylko nie męczy, ale przeciwnie — uspakaja nerwy. Nieraz, gdy płyniemy naszemi „łódkami" czujemy w duszach jakieś dziwne uciszenie. Jest nam tak dobrze, że chciałoby się cały świat przytulić do serca. Błękit wody, i błękit nieba przemawia głęboko do duszy. Życie wówczas nabiera głębszej treści, wydaje się jakby lepsze i piękniejsze...

— Bardzo ładnie to pani powiedziała — przerywam z szczerem uznaniem — ale nie chodzi mi o spokojną przejażdżkę, tylko o zawody wioślarskie, wyścigi...

— Podczas zawodów, proszę pani, nie mamy czasu myśleć o zmęczeniu i nigdy też o tem nie myślimy. Jesteśmy wtedy tylko hyżemi, wodnemi ptakami. Mkniemy po zwycięstwo wzruszone i do głębi przejęte.

— A po zawodach?

— Różnie bywa, zależy od szczęścia, od wygranej. Czasem smutno, czasem wesoło, ale do zmęczenia nikt się nie przyznaje...

Rozmowie naszej przysłuchuje się już teraz cała drużyna. Od czasu do czasu któraś z wioślarek dorzuca uwagę lub nową wiadomość.. Dowiaduję się wiele ciekawych rzeczy, między innemi i tego, że połowa panienek czyta „Moje Powieści".

Kochają to pismo i nigdy nie chciałyby się z niem rozstać. Jestem wzruszona i ściskam im na pożegnanie ręce. Na odchodnem proszą mnie o... zamieszczenie w „Raju kobiet" modeli wioślarskich kostjumów. Przyrzekam jak najchętniej i jeszcze to, że zachęcę wszystkie Czytelniczki „Moich Powieści" do uprawiania przemiłego, dającego dużo satysfakcji sportu wioślarskiego, a zwłaszcza te Czytelniczki, które muszą pracować cały dzień w szarych, dusznych murach miasta. Namówię je, aby każdy powszedni dzień pełen udręki i wyczerpującej pracy, jeżeli dopisze pogoda, urozmaiciły sobie tanią i dostępną „żeglugą". Prawie w każdem mieście, znajdują si ękluby wioślarskie, które wypożyczają członkiniom i członkom kajaki, zaś w mniejszych miasteczkach wypożyczą łodzie przewoźnicy, rybacy lub znajomi. O tem powiem Czytelniczkom, a niechybnie wiele z nich zainteresuje się bliżej wioślarstwem i w rezultacie wstąpi do klubu, względnie zacznie uprawiać sport ten na mniejszą skalę, prywatnie, dla własnej przyjemności i zdrowia. I napewno wiele z nich przywiąże się do tego sportu, który rozwija nietylko siły fizyczne, ale i uczy kochać jedne z najcudniejszych tworów natury: wodę i słońce.

M. Z.

Skąd się wzięło „Święto Morza"?

(Z okazji „Święta Morza")

Poraz piąty obchodzimy uroczyste święto zbratania się Polski z morzem. Początkowo „Święto Morza" przypadało na dzień 31 lipca, lecz w 1932 roku kurja biskupia w Pelplinie, najwyższa na Pomorzu władza kościelna, zarządziła, że po wszystkie czasy dzień 29 czerwca, dzień Apostołów Piotra i Pawła, będzie dniem polskiego „Święta Morza".

Obchód ma na celu zbiorowe zademonstrowanie uczuć społeczeństwa wobec żywiołu morskiego, przywiązanie do naszej twórczej pracy na wybrzeżu i zbliżenie się osobiste do przystani naszej wiary, nadziei i miłości, wykutej w pomniku czynu morskiego, — do Gdyni, skąd otwarły się przed odrodzoną Polską nowe w historji widoki dobrobytu zarówno materjalnego, jak duchowego.

Jesteśmy państwem morskiem, rozumiemy olbrzymie znaczenie posiadania własnego wybrzeża i własnego portu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że z dziedzictwa Piastów i Jagiellonów, sięgającego ongi od Odry do zatoki Fińskiej, został nam z winy praojców zaledwie mały szczątek wybrzeża o przestrzeni zaledwie 73 km, (linja brzegowa wraz z mierzeją helską liczona, wynosi 147 km). Temwięcej brzeg morski obecnie stał się nam drogi i cenny, temwięcej bronić go nam trzeba, chronić i pielęgnować.

„Święto Morza" ściągnie więc do Gdyni całą Polskę niemal wszystkie oczy, myśli i serca, reprezentowane przez czynniki państwowo-twórcze, przedstawicieli rządu i władz oraz nieprzeliczone rzesze, chętnych widoku portu i naszej floty, wycieczkowiczów. A jest co oglądać, podziwiać, jest czem natchnąć duszę radośnie!

Praca w Gdyni z każdym rokiem coraz wspanialsze wykazuje statystyczne rezultaty. Port, który w ciągu kilku lat, jak grzyb wyrósł po deszczu, dziś zdobył sobie prawie wszystkie rynki handlowe Bałtyku, posiada doskonałe urządzenia techniczne, a przedewszystkiem naszą własną, polską flotę handlową. W nich to widzimy naszą godność na morzu i siłę.

W krajach, które już zdawna miały możność wychować swe społeczeństwo w zmyśle morskim, podobne uroczystości mają za sobą rozległe tradycje ludowe. Wyrażają się one w formie zabaw, festynów kwiatowych i regat żeglarskich. U nas „Święto Morza" jest obchodem, pojętym o wiele głębiej — jest to bowiem manifestacja narodowa w formie ślubowania wszystkich naszych uczuć rozwiniętej nad Bałtykiem banderze z orłem białym.

Przyjazd więc nad morze do Gdyni nie jest dokumentem tylko ludzkiej ciekawości, lecz również odruchem potrzeby społecznego ducha, który ten „port naszej wiary, nadziei i miłości" uważa dziś słusznie za swą nieodrodną własność organiczną, jako czyn wszystkich rąk w budowie nowych dróg w Polsce ku lepszej przyszłości...

DOBRA GOSPODYNI

Lody śmietankowe.

Do dwóch litrów słodkiej, gęstej śmietanki — 15 żółtek i 3/4 klg. cukru. Żółtka rozbić z cukrem, rozrabiając je powoli, pół garncem śmietanki i tak rozbitą masę postawić na niewielkim ogniu, mieszając ciągle póki się nie podniesie i pilnując, aby się nie zagotowała. Cała dobroć lodów zależy od tego, aby po rozgrzaniu masy, przestudzić ją zupełnie, mieszając w zimnem miejscu, dopiero wystudzone wlać w puszkę i kręcić, aż stężeją. Co 15 minut otwierać puszkę, zgarniać masę łopatką, znów kręcić 15 minut, aż zupełnie stężeje. Jeśli lody mają być waniljowe wziąść laseczkę wanilji, pokrajać ją na kawałki, ugotować ją w kwartce śmietanki, a przestudziwszy wlać do przygotowanej masy. Cukru bierze się 3 szklanki na 2 litry śmietanki.

Lody poziomkowe i malinowe.

Najlepsze są z surowego soku. 2 szklanki cukru ugotować w kwarcie wody, wcisnąć podczas gotowania sok z jednej cytryny lub wsypać pół łyżeczki kwasu cytrynowego w proszku. Gdy syrop przestygnie, wlać w niego 2 szklanki surowego soku z malin lub poziomek, wyciśniętego przez muślin, zmieszać razem i zamrażać jak poprzednie. W zimie, robiąc lody z gotowanego soku, trzaba zamiast 2-ch szklanek cukru użyć jedną i tej samej ilości wody i pół litra soku.

Lody cytrynowe lub pomarańczowe.

2 szklanki cukru rozpuścić w litrze wody, zagotować na syrop i ostudzić, w sok ten wcisnąć sok z pięciu cytryn, skórkę obetrzeć kilku kawałkami cukru dla zapachu, wymieszać razem i przecedzić przez gęste sito. Do pomarańczowych bierze się 3 pomarańcze i 2 cytryny. Zamrażać jak inne.

Świat i życie

Kobieta w Japonji wczoraj i dziś

Niejednokrotnie już omawialiśmy szereg zagadnień związanych z uprawnieniami i udziałem kobiet polskich w życiu politycznem, społecznem i zawodowem naszego kraju. Przyjrzyjmy się dziś, jak sprawy te wyglądają w odległym od nas „kraju kwitnącej wiśni", gdzie do niedawna jeszcze jedynem prawem, obowiązującem kobietę japońską było „potrójne posłuszeństwo" względem ojca, męża i syna.

Stosunki te obecnie uległy znacznym zmianom, dotychczas jednak poważną przeszkodą w uniezależnieniu kobiety japońskiej są głęboko zakorzenione tradycje, związane z przeznaczoną jej rolą — sługi mężczyzny i matki jego dzieci.

Jakież wychowanie otrzymywały dawne Japonki i jakich umiejętności od nich wymagano?



A więc uczono ją muzyki, tańca. Musiały umieć prowadzić dom, znać bardzo trudny i złożony ceremonjał, podawania herbaty, układać pięknie kwiaty. Zwracano również dużą uwagę na ich zalety moralne — Japonka powinna być skromna, zawsze uprzejmą, nie posiadać żadnych kaprysów, żadnych samodzielnych sądów. Nawet religja była jej — według ówczesnych poglądów — niepotrzebną, jedyną bowiem religją winien być jej mąż, a jedynem zadaniem — służenie mu.

Po dziś dzień liczne rodziny samorajów (szlachty japońskiej — potomków dawnych rodów rycerskich), odnoszą się z pogardą do kobiety pracującej, uważając ją za coś niższego,, a małżeństwo z nią za nieodpowiednie, za t. zw. mezalians,, chociażby kobieta ta zajmowała nawet wybitne stanowisko społeczne.

Nie odstrasza to jednak dzisiejszych dziewcząt japońskich, które niezależnie od sfery i pochodzenia z zapałem garną się do wiedzy i zdobywają coraz liczniejsze placówki pracy.

Ruch ten rozpoczął się dopiero pod koniec 19 wieku. Do tego czasu bardzo nieliczne zaledwie dziewczęta umiały czytać i pisać, chodząc do szkół istniejących przy świątyniach, t. zw. „terakoya".

Pierwsza szkoła państwowa dla dziewcząt w wieku od lat 7 do 14 założona została w 1872 r. za panowania wielkiego reformatora Japonji, cesarza Meiji.

W tym też mniej więcej czasie cesarzowa żegna i zachęca do pracy pięć małych dziewczynek japońskich wysyłanych na wychowanie do Ameryki. One to po powrocie do kraju, stają się pionierkami ruchu kobiecego w swej ojczyźnie.

Najmłodsza z tych wysłanniczek, p. Tsuda zakłada w 1900 r. pierwszą wyższą szkołę dla kobiet, kształcącą szeregi nauczycielek.

Pomyślnie również rozwija się założona w tym samym czasie szkoła medyczna, która w 1928 r. posiadała już 807 słuchaczek.

Wszystkie jednak wyższe uczelnie dla kobiet, których obecnie jest znaczna ilość (szkoły farmaceutyczna, dentystyczna, wychowania fizycznego itp.), są prywatne. Prywatnym jest również założony w 1901 r. uniwersytet kobiecy.

Kobiety japońskie do dzisiejszego dnia nie mają prawa uczęszczania do państwowych uniwersytetów i wyższych uczelni. Ministerstwo oświaty natomiast nadaje prawa prywatnym kobiecym wyższym zakładom naukowym, których obecnie jest 9 z 6.500 słuchaczek.

Dostępne dla dziewcząt są tylko powszechne i średnie szkoły państwowe. W pierwszych Japonki stanowią jedną trzecią uczącej się młodzieży. Drugich, z programem zbliżonym do takichże szkół europejskich, jest obecnie w Japonji 857.

Z zawodów, objętych przez kobiety — najliczniejsze są nauczycielki.

We wszystkich jednak dziedzinach pracy Japonki dziś zdobywają sobie miejsca i to częstokroć bardzo wybitne, krocząc w „siedmiomilowych butach" za swemi siostrzycami z Zachodu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Eros". Nagrody za rozwiązanie zadań — wysłaliśmy. Dziękujemy za arytmograf i szaradę, oraz prosimy o nadesłanie rozwiązań obydwóch zadań. Dalsza współpraca Pana z „Chwilą zastanowienia" będzie bardzo mile widziana. Serdecznie pozdrawiamy.

„Janusz". List wysłaliśmy. Serdecznie pozdrawiamy i prosimy o dalszą pamięć.

P. Edmund N. z Sulmierzyc. Dziękujemy za słowa uznania. Sprawę dalszej wysyłki tygodnika załatwiła administracja. „Zawalidroga" przeszedł narazie w stan spoczynku. Łączymy wyrazy poważania.

Tadeusz Rawicki.

SKARB

(Nowela.)

Nadchodził wieczór.

Inżynier Wacław Szymborski wdziewał właśnie palto, szykując się do wyjścia, gdy pokojówka przyniosła na tacy pilny list. Inżynier nerwowo rozdarł kopertę i w trakcie czytania twarz mu zbielała jak płótno. W pogodnych dotąd oczach zamigotały błyski gniewu.

Otrzymany, list bowiem brzmiał sensacyjnie!

„Dzisiejszej nocy skarb, który jest oczkiem w głowie JWPana Inżyniera, będzie należał do mnie".

Szymborski zgniótł w dłoni groźny anonim i zaklął przez zęby:

Psiakrew! Bezczelny drab! Nieźle sobie wykombinował. Pieniędzy mu się zachciewa, więc chce je zdobyć gwałtem! — He, he, he — Szymborski zaśmiał się ironicznei i siadłszy za biurkiem, otwarł dobrze zamaskowaną skrytkę. Wyjął stamtąd plik starannie pozkładanych papierów i uderzając w nie dłonią, powiedział przeciągle:

— Oto owoc pożądań anonimowego gościa. Te plany warte są kilka set tysięcy... He, he, he, bajeczny skarb!

Inżynier śmiał się znacząco, zatrzaskując napowrót wieczko skrytki. Następnie ustalił szczegółowy plan działania, a więc: Zrezygnuje z dzisiejszego balu prasy. Żonie na tyle zaufa, że samej pozwoli pójść na bal. Sam zaś pozostanie w domu, ażeby „porozmawiać" z zapowiedzianym bandytą.

Dla bezpieczeństwa położył Szymborski na biurku nabity rewolwer.

— — — — — — — —

Salony Pałacu Prasy pławiły się tego wieczoru w morzu jaskrawych świateł. Wśród egzotycznej zieleni, zapachu kwiatów, perfumu i pudru kołowały leniwie fioletowo — sine smugi dymu, puszczanę z ust wytwornych panów i eleganckich pań.

Z głównej sali dochodziły dźwięki muzyki i w mroku dyskretnie przyćmionych świateł sunęły sylwetki tańczących par.

Redaktor Orlicki mało interesował się przebiegiem balu, siedząc w zacisznej seperatce, dokąd nie dopływały tony orkiestry ani gwar gości.

Obok niego siedziała młoda, piękna kobieta. Zasłuchany w jej gorące słowa, zapomniał nietylko o sali balowej, ale całym świecie.

Był zadowolony z życia, jak nigdy, gdyż oto ta, o której marzył, wyznała mu swą miłość.

Coprawda była mężatką, lecz cóż to wszystko znaczyło wobec ogromu uczucia, jakie żywił względem niej?

Mężem Orlicki nie przejmował się zbytnio. Cóż go mógł bowiem obchodzić jakiś tam inżynier Szymborski, człowiek pochłonięty całkowicie pracą naukową?...

Najwyżej mógł wnieść skargę o rozwód, co naturalnie ułatwiłoby Orlickiemu osiągnięcie celu.

Zresztą redaktor słyszał postronnie, że Szymborska nie jest podobno zadowolona ze swego męża, ktoórego uważa raczej za... opiekuna. Nic w tem dziwnego, skoro inżynier był starszy od niej o całe dziesięć lat.

Orlicki podniósł kieliszek do ust...

Szymborska uczyniła to samo, chociaż niechętnie. Gorący płyn nie chciał jej przejść przez gardło. Coś się w niej kotłowało. Czuła, że łzy cisną się jej gwałtem do oczu.

Musisz mi jednak przyznać, Izo, że pomysł tym anonimem był świetny — mówił wesoło Orlicki — zapalając papierosa. Ręczę, że Wacław przesiedzi do rana na straży planów swego wynalazku, gdy my, tymczasem... ha, ha, ha!... Starał się objąć ją ramieniem....

Odepchnęła go lekko.

„Dlaczego mnie, odpychasz? — zapytał zdziwiony.

Szymborska zamyśliła się głęboko, kryjąc twarz w dłonie.

Po chwili szepnęła ze szlochem:

— Mnie jest żal Wacława. Przecież to mój mąż. On mnie tak bardzo kochał. Byłam jedynym jasnym promykiem w jego życiu, w życiu człowieka nauki. — Muszę do niego powrócić! Słyszysz?

Orlicki wytrzeźwiał momentalnie. Nie mógł jednak zrozumieć skąd ta nagła zmiana.

— Więc mam o tobie zapomnieć, najdroższa? — spytał napozór czule, choć w głębi kipiał gniewem?

— Musisz! — odpowiedziała rozkazująco. — A teraz żegnaj! Na zawsze! — dotknęła jego drżącej dłoni i wyszła... dziwnie piękna i szlachetna...

— — — — — — — —

Pierwsze promienie słońca zajrzały przez okno, oziacając znużoną postać Szymborskiego. Inżynier czuwał.

Wreszcie poszedł zobaczyć czy żona już wróciła. Spotkał ją w drzwiach: szła mu powiedzieć dzień dobry.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 94)

„Ty drżysz!“ zawołała Lola, „co ci brakuje, może się przeziębiłeś! Widocznie stałeś przy otwartem oknie? Powietrze jest za ostre dla ciebie i dlatego się zaziębiłeś! Pozwól, że zamknę okno!“

Lola chciała zamknąć okno, lecz Kazimierz wstrzymał ją ruchem ręki i zawołał:

„Nie zamykaj okien! Jesienne powietrze mi nie szkodzi; chłodzi tylko moje czoło, a to orzeźwia mnie właśnie. Porobiłaś wszystkie sprawunki?“

„Tak! Przygotowałam wszystko, dzisiaj wieczór możemy wyjechać! Ach, jak się cieszę na ten pobyt nad Renem. O Kazimierzu, to będą moje najprzyjemniejsze chwile z całego życia.“

„Tak jest, Anielciu; cieszę się z całego serca. A jednak —“ złośliwy uśmiech zaigrał na jego ustach, gdy mówił te słowa, „a jednak zdaje mi się, że z naszej podróży nic nie będzie.“

„Co“? zawołała Lola, „sądzisz, że dzisiaj nie wyjedziemy? Dlaczego? Wszystko jest przygotowane do podróży. Kazimierzu, dlaczego nie pojedziemy dzisiaj wieczór do twoich dóbr nad Renem?“

„Hm! Pewne przyczyny nie pozwalają nam na to!“ zawołał Kazimierz; „przypuśćmy, że się stało coś nadzwyczajnego! Naprzykład twój ojciec?“

„Mój ojciec?“

„Tak, Anielciu, mówię o Zygmuncie Sokolskim. Przecież jest niewykluczone, że nas może dzisiaj odwiedzi w hotelu? Jak sądzisz?“

Lola chwyciła się za głowę. Gdy słyszała nazwisko hrabiego Zygmunta Sokolskiego, brakowało jej zawsze oddechu; ten człowiek prześladował ją jak upiór.

„Nie dużo brakowało, a byłabym zapomniała o najważniejszej rzeczy!“ zawołała nagle Lola, sięgając ręką do kieszeni. „Wracając do hotelu otrzymałam telegram, zaadresowany do ciebie!“

„Telegram do mnie? Przeczytałaś go Anielciu?“ zapytał Kazimierz.

„Nie, nie uczyniłam tego! Telegram nosi przecież twoje nazwisko.“

„Oj, ty,“ odparł Kazimierz, co do mnie należy, jest także twoją własnością! Otwórz teraz prędko telegram i przeczytaj mi co w nim stoi!“

„Jeżeli się nie mylę, to jest od hrabiego Zygmunta Sokolskiego,“ mówiła spokojnie Lola.

„Może mój ojciec donosi nam o przybyciu do Berlina. Zapewne przyjedzie razem z Elzą Rodeń, o której naopowiadałaś mi tyle pięknych rzeczy. O Kazimierzu, to by było dla nas prawdziwą niespodzianką.“

„Nie wiem!“ zawołał wesoło Kazimierz, a na jego twarzy pojawił się znowu ten swobodny uśmiech.

Lola nie zauważyła tego; zanadto była zajęta własnemi myślami, i dlatego nie mogła spełnić natychmiast życzenia Kazimierza.

„Przeczytaj mi wreszcie ten telegram,“ zawołał Kazimierz, opierając się jedną ręką o poręcz krzesła, „jestem ciekawy treści telegramu.“

Lola otwarła depeszę, którą niedawno temu własnoręcznie napisała. W salonie zrobiło się nagle cicho.

Kazimierz podniósł głowę i pochylił się ku Loli, jakby chciał posłyszeć jej każde słowo. Był ciekawy na wiadomość telegramu.

Dlaczego nie czytasz?“ zapytał po chwili. „Dlaczego nie czytasz? Co się stało?“

Lola milczała uporczywie.

W salonie znowu zrobiło się cicho. Było słychać tylko szelest papieru, drżącego w ręku Loli. Ociemniały czekał napróżno na odpowiedź.

„Anielciu, — gdzie jesteś?“ zawołał nagle Kazimierz, „dlaczego nie nie mówisz? — Dlaczego nie czytasz telegramu?“

Z piersi pięknej kobiety wydobyło się głębokie ciężkie westchnienie.

„Anielciu, — na Boga, Anielciu, — co ci się stało?“ krzyknął ociemniały, „gdzie jesteś Anielciu?“

„Tutaj, Kazimierzu, — przy tobie!“ odparła drżącym głosem, „weź moją rękę, stoję przy tobie, — Kazimierzu!“

„Tak, to ty!“ rzekł Kazimierz, „lecz telegram, — — telegram! — Dlaczego —“

„Jaka straszna wiadomość!“ zawołała boleśnie Lola. „Nie mogę ci tego powiedzieć! Kazimierzu, nie żądaj tego odemnie. Och, mój ojcze, — mój biedny ojcze!“

Kazimierz posłyszał równocześnie głuchy łoskot i bolesny okrzyk. Pochylił się i wyciągnął ku Loli swoje ręce. Zauważył, że piękna kobieta upadła na kolana. Podniósł ją w górę i przycisnął do piersi, nie mogąc wymówić ani słowa. Wreszcie zapytał ją jeszcze raz o treść depeszy:

„Anielciu, zaklinam cię, wyjaw mi całą prawdę. — W mojej piersi sroży się straszna wątpliwość i niepewność, — czuję śmiertelną trwogę. Jestem przekonany, że wszyscy moi krewni znajdują się przy życiu! O mój Boże, może spotkało jakie nieszczęście Elzę Rodeń! — Droga Anielciu, uspokój mnie!“

„Dobrze, przeczytam ci treść depeszy,“ zawołała piękna awanturnica, „zapanuj jednak nad sobą, gdyż przeczytam ci coś strasznego.“

„Mów; słucham cię!“

Ślepy posłyszał znowu szelest papieru.

Lola rzuciła badawczy zwrok na blade oblicze Kazimierza i przeczytała depeszę drżącym głosem:

„Hrabia Zygmunt Sokolski spadł przedwczoraj z konia i na miejscu wyzionął ducha. Dzisiaj pogrzeb. Wyjeżdżam z Polski i udaję się do Włoch do moich znajomych.

Elza Rodeń.“

W salonie zrobiło się cicho.

Lola spojrzała ukradkiem na Kazimierza. Spodziewała się, że depesza na niego wywrze piorunujące wrażenie. Co to było? Kazimierz nie drgnął nawet



Finlandczyk, Matti Järwinen, zyskał rekord świata w rzucie oszczepem. Rekord ten wynosi 77,23 m.

i co więcej, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

Czyżby ta wiadomość przyprawiła go o utratę zmysłów, — może zwarjował? Kazimierz uśmiechał się, mimo wiadomości o śmierci swojego przyjaciela i ojca!

Lola przestraszyła się. Bała się, czy nie poszła za daleko i czy nie napięła zbyt silnie łuku.

„Kazimierzu!“ zawołała, rzucając mu się na piersi. „Kazimierzu, nie rozpaczaj! Bóg zsyła na nas ciężkie doświadczenie. Los wydarł ci twojego najlepszego przyjaciela. Lecz znieśmy z godnością ten okrutny cios. Pokażmy, że jesteśmy zahartowani na bóle. Pozostaje nam jeszcze nasza miłość, jako jedyna pocieszycielka. Niech ta miłość posłuży nam jako pancerz przeciwko uderzeniom losów.“

Lola wymawiała piękne, czułe, wzniosłe słowa. Lecz Kazimierz uśmiechał się ciągle i widocznie nie zważał na jej słowa.

Lola nie wiedziała co robić. Przyłożyła rękę do piersi i spoglądała błędnym wzrokiem na Kazimierza. Hrabia Zamski podniósł głowę i skierował wzrok ku Loli, jakby chciał ją zobaczyć.

„Kazimierzu, powiedz przynajmniej jedno słowo, biadaj, płacz, tylko nie siedź jak martwy posąg. Boże!“

Kazimierz wstrząsnął głową i zapytał ją zupełnie spokojnym głosem:

„Elza Rodeń nadała tę depeszę“?

„Tak, — Elza, — Elza Rodeń!“ odparła głucho Lola, „naturalnie! Ach, wyobrażam sobie jej boleść, gdy przyniesiono do domu nieżywego ojca.“

„Kiedy nadano depeszę?“

Pytanie Kazimierza zaskoczyło zupełnie niespodziewanie Lolę, zapomniała bowiem zaopatrzyć w datę sfałszowaną depeszę. Udała, że czyta depeszę. Obróciła telegram i odparła:

„Tę depeszę nadano przed trzema godzinami na zamku Sokolskich.“

„Przed trzema godzinami?“ zawołał spokojnie Kazimierz, „w takim razie

ów telegram jest dziełem złych ludzi, którzy chcieli nam zgotować przestrach i boleść. Hrabia Zygmunt Sokolski nie spadł z konia, i tem mniej nie umarł. Słowem, cała depesza zawiera jedno duże, potworne kłamstwo."

Gdyby Kazimierz mógł widzieć, to byłby się przestraszył na widok tej szaro - zielonej barwy, która oszpeciła rysy pięknej awanturnicy. Przeraziłby się wyrazem jej twarzy.

„Jak," zawołała, „mówisz, że ta depesza jest sfałszowana?"

„Jakiś łotr zakpił sobie ze mnie," odparł Kazimierz Zamski. „Nie mogę tylko odgadnąć, czyja w tem ręka!"

„Nie mylisz się?" zapytała nieśmiało Lola, „skąd wiesz, że mój ojciec nie umarł? Dotychczas nie otrzymaliśmy od niego żadnej wiadomości! Już to samo niepokoi mnie bardzo. Może dostałeś list od niego?"

Kazimierz Zamski postanowił uspokoić Anielcię i nie robić dłużej tajemnicy z bytności Zygmunta.

„Moja Anielciu," odparł Kazimierz, „gdyś była w mieście, otrzymałem wiadomość od twego ojca, która jest najlepszym dowodem, że depesza jest sfałszowana. Podaj mi ją!"

Lola podała Kazimierzowi telegram; młody hrabia złożył go i schował do kieszeni. Lola zaniepokoiła się tym ruchem i zaczęła gorzko płakać.

Domyślała się, że w czasie jej niebytności zaszło coś nadzwyczajnego.

„Och, jak się cieszę," zawołała zmienionym głosem, że ta depesza jest tylko łotrowskim czynem. Ah, to byłoby za straszne, gdyby właśnie teraz umarł mój ojciec. — Drogi Kazimierzu, powiedz mi, skąd masz tę pewność? Na czem opierasz twoje twierdzenie, że hrabia Zygmunt Sokolski żyje? Ukrywasz coś przedemną; to nieładnie z twej strony."

„Zaczekaj kilka minut, a twoja ciekawość zostanie zaspokojona," odparł Kazimierz.

„Kilka minut? Co się stanie po tych kilku minutach?" zapytała niespokojnie Lola.

„O, za kilka minut zmieni się wszystko," żartował Kazimierz, „zobaczysz jedną niespodziankę. Nie bój się, Anielciu, za kilka minut spotka cię coś nadzwyczaj radosnego!"

„Miła niespodzianka?" powtórzyła Lola, drżąc na całem ciele.

Czuła brak oddechu, serce biło jej jak młotem, a w głowie powstał cały chaos myśli. Święty Boże, o jakiej niespodziance mówi Kazimierz? Czyżby — Bezwiednie oglądnęła się po pokoju, czy gdzieś w rogu niema jakiej postaci. Nagle padł jej wzrok na krzesło, stojące obok stołu. Bolesny okrzyk wydobył się z ust Loli.

„Co ci się stało, Anielciu?" zapytał hrabia Kazimierz Zamski.

„Nic, — nic! Ukłułam się igłą od broszki."

Lola, wymawiając te słowa, przyskoczyła do krzesła. Pochyliła się i podniosła rękawiczki. W czasie jej nieobecności był ktoś u Kazimierza. Wiedziała napewno, że Zamski nie nosił nigdy czerwonych rękawiczek.



Scena z nowego filmu Kiepury „W promieniach słońca" nagrywanego w Wiedniu. Obok Kiepury widzimy jego partnera i uroczą partnerkę Friedl Czepa.

Zresztą rękawiczki nie pasowały na ręce Kazimierza, były bowiem większe od tych, które zwykle nosił.

Lola patrzyła na ten dowód, że jakiś obcy człowiek był u Kazimierza.

Kto to był? Ah, to było nierozważnie z jej strony, że opuściła Kazimierza. Przy takiej szalonej grze, trzeba uważać na każdy krok, — inaczej jedna sekunda może zniweczyć cały plan.

Lola nie wiedziała kto odwiedził Kazimierza. Musiała się dowiedzieć o tem za każdą cenę.

„Był kto u ciebie, Kazimierzu!" zawołała nagle Lola i zbliżyła się do oniemniałego hrabiego.

„Odwiedziny? — Kto ci to powiedział?"

„Spotkałam zarządcę hotelu, który mi powiedział, że w mojej nieobecności odwiedził cię jakiś nieznajomy pan."

„Tak, więc dowiedziałaś się o tem?" zawołał Kazimierz, „w takim razie wyjawię ci całą prawdę. Poco ukrywać się z czemś przed ukochaną osobą? — Chodź, Anielciu, podaj mi rękę. Zbliż się do mnie. Moja Anielciu, chcę raz z tobą odczuwać radość."

Lola podała chętnie ręce swojemu mężowi. Drżała tak silnie, że ledwie mogła się utrzymać na nogach. Przeczuwała, że teraz posłyszy coś strasznego.

„Anielciu, wyjawię ci wszystko. Przed tobą nie mam żadnych tajemnic," rzekł Kazimierz, szukając ustami jej słodkich warg.

„Tajemnica?" zapytała Lola.

„Tak, miła tajemnica! Anielciu, czeka cię wielka radość i szczęście! Anielciu, opanuj wzruszenie, gdyż sama powiedziałaś mi, że niespodziewana uciecha, może zabić człowieka. Wcześniej, czy później musiało cię spotkać to szczęście. Za kilka minut zobaczysz twojego ojca. Za kilka minut zjawi się tutaj hrabia Zygmunt Sokolski. — Mówiłem z nim i pozdrowiłem jak mojego najwierniejszego przyjaciela."

Lola była bliską omdlenia. Zawisła bezwładnie na szyji Kazimierza, który ją wziął czule w swoje ramiona.

„Anielciu!" zawołał niespokojnie, „Anielciu, co ci się stało? O mój Boże, jeżeli się nie mylę, to biedne dziecko zemdlało. Nie mogę jej pospieszyć z pomocą. Anielciu, zbudź się, otwórz twoje piękne oczy. Powiedziałem ci radosną nowinę. Słyszysz, Anielciu? Opanuj wzruszenie, mów i uspokój mnie jednem słowem."

„Słyszę, Kazimierzu!" wyszeptała cicho młoda, — piękna kobieta.

„Słyszałaś, że przyjdzie twój ojciec? W tej chwili jest już może na schodach. Słyszysz jego kroki? Nie, pomyliłem się, to nie on! Lecz wkrótce nadejdzie. Poszedł tylko do biura telegraficznego, celem nadania depeszy do Elżutki Rodeń.

Dlatego nie pojedziemy dzisiaj do moich posiadłości. Dzisiaj opuścimy Berlin razem z twoim ojcem i zamieszkamy na zamku Sokolskich, który nadal będzie naszą stałą rezydencją!"

Lola walczyła ciągle z omdleniem. Nie mogła mówić, gdyż morze burzliwych myśli przelało się w jej mózgu.

Zygmunt Sokolski był w tym salonie, — wróci za kilka minut! Jej podstępna intryga wyjdzie na jaw, a Kazimierz dowie się, że znienawidzona kobieta wkradła się znowu na miejsce Anieli. Ze wzgardą odepchnie od siebie awanturnicę.

Ha, Lola nie mogła znieść tej myśli. Zdawało się jej, że jakieś straszne straszydło dusi ją za szyję.

Ciemna zasłona padła na jej myśli i uczucia. Z tego chaosu, z tego czarodziejskiego kotła wrażeń, wyłaniała się tylko ta jedna świadomość: szczęście znalazło swój koniec, więc i życie się skończy!

„Anielciu, co się stało?" zawołał Kazimierz, gładząc ją po ciemnych włosach, „dlaczego nic nie odpowiadasz? Może cię oszałomiło niespodziewane szczęście? Nie możesz tego zapewne pojąć ani zrozumieć. Anielciu, bądź cierpliwą, wkrótce zobaczysz twojego oj-

ca. Za chwilę spełnią się twoje gorące życzenia. Los obszedł się z nami wspaniałomyślniej, aniżeli może zasłużyliśmy to. Zygmunt zobaczy cię, a ty, — znajdziesz dom i rodzinę. Wszyscy będziemy cię otaczali najczulszą miłością.“

„Miłością? — Ha ha, wzgardą!“ pomyślała boleśnie Lola.

„Oh, gdybyś wiedziała,“ mówił Kazimierz, „jak się cieszył twój ojciec, gdy posłyszał, żem cię odszukał. Zanim cię zobaczył, błogosławił już nas w duchu.“

„Przeklnie mnie, gdy zobaczy mnie i rozpozna,“ — myślała Lola.

„Nie mógł się ciebie doczekać, moja droga Anielciu.“

„Odtrąci mnie ze wzgardą i wstrętem,“ mówił wewnętrzny głos Loli.

„Droga Anielciu,“ zawołał Kazimierz, „wyglądnij przez okno, czy twój ojciec nie nadchodzi. Obiecał wrócić za pół godziny.“

„Tylko pół godziny!“ pomyślała Lola. „Skazany na śmierć ma zwykle więcej czasu na przygotowanie, a ja nie mogę nawet pożegnać się spokojnie z moim ukochanym.“

Lola postanowiła opuścić Kazimierza. Nie chcąc się przed nim zdradzić, pobiegła ku oknu i wyglądała na ulicę.

Tam w dole leżała ulica, po której hulał jesienny wiatr. Pokoje Kazimierza i Loli znajdowały się bardzo wysoko. Lola spojrzała ze drżeniem w otchłań.

A gdyby się rzuciła z okna na ulicę? W jednej sekundzie skończyłoby się wszystko i nie potrzebowałaby się obawiać, że ją ktoś zdemaskuje jako oszustkę. Tak, taki skok był jedynem wyjściem z tego położenia; przegrała swoją niebezpieczną grę! Lecz nie, nie tutaj. Lola czuła wstręt przed tą myślą, że liczni przechodnie zobaczą jej połamane, zakrwawione ciało. Śmierć niszczy ślady piękności, a Lola posiadała niezwykły zmysł dla piękna.

Nie chciała, by ludzie odwracali się ze wstrętem od zwłok, zbroczonych krwią. Pragnęła umrzeć w cichości, gdzieby ją nikt nie widział.

Tak, postanowiła sobie odebrać życie. Kto przegrywa, ten musi zapłacić!

Piękna kobieta, odwróciwszy się od okna, była zupełnie spokojną i spojrzała na Kazimierza.

Jej twarz przybrała wyraz obojętności. Tylko w oczach błyszczał ogień rozpaczy i smutku.

„Kazimierzu! Nie wiesz, jak szczęśliwą jestem w tej chwili.“

W tych słowach leżała gorzka ironja.

„A widzisz! Nie będziesz się gniewać, że cię opuszczę na chwilę. Muszę się przebrać, zanim przywitam mojego ojca.“

„Moja droga Anielciu, niepotrzebnie się przebierasz. Twój ojciec kocha cię bez względu na suknie. Zawsze przyjmie cię otwartemi ramionami.“

„O, wiem o tem,“ odparła Lola, „oczyszczę suknie z ulicznego kurzu.“

„Więc idź i spiesz się; Zygmunt nadejdzie lada chwila.“



W Madrycie, podczas ostatniego powszechnego strajku, porzucili robotnicy pracę w zakładach użytku publicznego. W jednej z dzielnic miasta, zabrakło z tego powodu wody, wobec czego musiała policja zająć się jej dostarczeniem.

„Nie pocałujesz mnie, Kazimierzu?“ zapytała czule Lola.

„Chodź, moje drogie dziewczę!“

Lola rzuciła mu się w objęcia; przemocą wstrzymała łzy, cisnące się do oczu. Z jej piersi wydobyło się głuche łkanie. Całowała namiętnie ukochanego mężczyznę; wreszcie wyrwała się z jego uścisków!

„Żegnaj,“ zawołała, „żegnaj, mój ukochany! Do widzenia!“

„Nie zobaczymy się więcej“ dodała w duchu, nie mogąc dłużej powstrzymać łez. Wybiegła do sąsiedniego pokoju.

CLI.

Zbawca Loli

Lola zamknęła za sobą drzwi i upadła na fotel. Jej siły były złamane; nie mogła utrzymać się na nogach; a przecież nie miała czasu do stracenia. Może trzeba było napisać kilka słów pożegnania do Kazimierza.

Tak, nie odejdzie od niego bez pożegnania. Po chwili usiadła przy biurku i napisała:

„Oszukałam cię i uknułam podłą intrygę. Moja miłość do ciebie jest jedynem usprawiedliwieniem.

Teraz, kiedy się zjawi Zygmunt Sokolski, muszę cię opuścić na wieki i dobrowolnie pożegnać się z życiem! Daruj i przebacz twojej nieszczęśliwej Loli.“

Serdeczne łzy zrosiły to pismo, tak, że pojedyńcze litery były prawie nieczytelnie.

Teraz podniosła się Lola. Osuszyła łzy i wybiegła na korytarz.

Lecz dokąd? — Gdzie spełni swój zamiar? Może miała się rzucić z dachu?

Ha, nagle zobaczyła przed sobą ciemną otchłań. Był to szyb windy.

Tak, to było upragnione miejsce. Nikt nie pomyśli, że sobie odebrała życie. Wszyscy powiedzą, że nieszczęśliwy przypadek spowodował jej śmierć.

Lola nadsłuchiwała. Dokoła panowała cisza. Nikt nie nadchodził. Drżącą ręką otworzyła drzwi, prowadzące do windy, i stanęła nad samym brzegiem czarnej przepaści.

Szyb był podobny do długiego prostokąta, w którym poruszyła się winda. Lola spoglądała w dół, gdzie spodziewała się znaleźć prędką śmierć. Nie będzie potrzebowała dłużej cierpieć.

Jeszcze raz rzuciła okiem na drzwi, prowadzące do pokoju Kazimierza. Nagle poczuła w sobie dziką chęć życia. Lecz z drugiej strony widziała jasno, że niema prawa do życia; kto ryzykuje podobną grę, ten musi zwyciężyć, albo zginąć.

Mimowoli złożyła ręce. Oddawna już nie szeptały jej usta modlitwy.

Tak, modliła się, — do Boga, którego nie uznawała w swojem życiu. W chwili bliskiej śmierci prosiła Stwórcę o radę i ratunek.

Nie modliła się jednak, by Bóg przebaczył jej grzechy, które popełniła w czasie doczesnej pielgrzymki.

Nie, — prosiła Boga o opiekę nad Kazimierzem, by go uwolnił od tego nieszczęścia i przywrócił mu utracony wzrok.

Tak, aby tylko był szczęśliwy, lecz nie z tą drugą, której obraz nosił w sercu! Wszystko, — wszystko, — tylko to nie!

Ha, czuła dziką rozpacz, gdy pomyślała, że Kazimierz odnajdzie Anielcię i połączy się z nią na wieki. — Sama, — będzie już leżeć w grobie, — a Kazimierz i Anielcia będą używać jeszcze życia na ziemi.

Nie, tego było za dużo! Nie mogła prosić Boga o takie szczęście dla Kazimierza! Jej modlitwa przemieniła się nagle w przekleństwo. Pobożne słowa, które przed chwilą wydobywały się z jej ust, zgasły nagle w demonicznym

okrzyku, pełnym zgrozy i potworności!

„Święty Boże, los obchodził się zawsze ze mną po macoszemu! Nic mi nie dałeś. Nie dałeś mi matki, gdyż moja rodzicielka wzgardziła mną i wydała mnie obcym ludziom. Wyrosłam w bagnie zepsucia. Nie szemrzę jednak przeciwko Tobie, — lecz spełń moje ostatnie życzenie i nie pozwól, by Kazimierz spotkał się z Anielcią! Nie powinien ją kochać, każdą inną, tylko nie tę dziewczynę! — Przeklęta bądź, Anielciu! Gdyby Kazimierz całował jej wargi, to niech na tych ustach powstanie zaraza. Gdyby mu się oddała, to niechaj porodzi piekło! — To jest moje ostatnie życzenie!

„Ziemia lekką mi będzie, gdy spelni się moje życzenie, — wtedy niech się stanie, co chce! Obojętne mi jest, gdybym nawet za te grzeszne myśli, musiała smażyć się w ogniu piekielnym przez całą wieczność! — Ha, ktoś idzie po schodach! Zapewne hrabia Zygmunt! — Ha, więc prędko w objęcia śmierci, byle tylko go nie widzieć!“

Lola spojrzała jeszcze raz w ciemną otchłań, po chwili przymknęła oczy, nie chciała bowiem patrzyć na swój śmiertelny skok.

Pochyliła się, — teraz jeszcze jedna sekunda, — a straci równowagę, — i zleci w ponurą przepaść.

Rozmiażdży głowę. Może równocześnie spadnie winda i zgniecie jej ciało na miazgę! Teraz, — teraz, — teraz —

„Nieszczęśliwa, co czynisz!“ zawołał w tej chwili jakiś głos i dwie ręce powstrzymały ją nad samym brzegiem otchłani.

Lecz jej smukłe ciało broniło się całym wysiłkiem; Chciała umrzeć; życie nie miało dla niej żadnej wartości.

„Puszczaj!“ zawołała głucho Lola, nie oglądając się, kto ją zatrzymał. „Puszczaj, — nikt nie ma do mnie prawa!“

„Chcę przeszkodzić szaleństwu! Co się pani stało? Proszę mi zawierzyć. Zrobię wszystko, co tylko leży w mojej mocy.“

„Precz odemnie!“ zawołała Lola i zwróciła się nagle, tak, że jej wzrok padł na twarz nieproszonego zbawcy.

Lecz w tej chwili cofnęła się z przerażeniem. Przed nią stał detektyw Edwin Lister, którego w Paryżu nazywano markizem Satanelli.

„Edwin Lister?“ wymówiła Lola. „Pan, — pan tu? O, błagam pana, puść mnie pan! Pozwól mi pan wykonać mój zamiar. Postanowiłam umrzeć i żadna siła nie powstrzyma mnie od tego kroku.“

„A gdybym się na to odważył?“

„Jakim prawem krzyżujesz pan moje zamiary?“ zawołała cicho nieszczęśliwa kobieta, „o, gdybyś pan wiedział, co się dzieje w mojej duszy! Chcesz pan gwałtem, bym się okryła hańbą i wstydem?“

„Hańbę można zmyć! Wszystko da się naprawić, z wyjątkiem szalonego samobójstwa.“

„Nie szaleństwo, lecz rozpacz popchnęła mnie do tego kroku.“

„Rozpacz jest często tylko złudzeniem,“ zdparł Lister. „To, co dzisiaj widzimy w czarnych kolorach, jutro może się nam pokazać w różowych blaskach. Proszę iść ze mną, zaklinam panią!“

„Nie, nie idę, będę walczyć do ostatniego tchu! Kto upoważnił pana do takiego kroku?“

Rysy Edwina Listera przybrały nagle poważny wyraz. Oddychał ciężko i przycisnął młodą kobietę do piersi. W jego oczach pojawiły się dawno niewidziane łzy, które zasługiwały zupełnie na nazwę bolesnej tęczy. Następnie przemówił wzruszonym głosem:

„Mylisz się, Lolu, — przeciwnie, mam nawet duże prawo. Zmuszasz mnie do tego, więc dobrze. Dowiedz się w tej strasznej godzinie twojego życia: — Przed tobą stoi twój ojciec. Jesteś moją córką!“

Edwin Lister, wymówiwszy te słowa, porwał w objęcia Lolę i zaniósł ją do pokoju, przytykającego do sypialni Kazimierza.

Posadził Lolę na krześle i zamknął drzwi.

„Tak!“ zawołał Lister; w jego twarzy malowała się niezłomna energja. „Tymczasem jesteśmy zabezpieczeni. Nawet właściciel tego pokoju nie potrafi otworzyć drzwi.

„Muszę z tobą pomówić, moje nieszczęśliwe dziecko,“ rzekł detektyw, siadając na krześle obok Loli, „powiedz mi, co się stało? Co cię spowodowało do tego kroku? Prawie każdą przeszkodę potrafię usunąć. „O, nie znasz jeszcze twojego ojca. Jestem potężniejszym, aniżeli sądzisz! Musisz mi tylko zaufać i wyznać całą prawdę.“

Promyk nadziei wkradł się do serca Loli. Nagłe spotkanie z ojcem podziałało na jej zbrodniczą naturę jak powiew wiosennego wiatru.

Matka nienawidziła ją zawsze. Była więc godną pogardy ze strony własnej córki. Teraz, — po raz pierwszy w życiu zbliżyła się do ojca, — któremu zawdzięczała życie! Widziała wyraźnie w jego twarzy troskę i obawę. Przed chwilą oświadczył jej właśnie, że potrafi usunąć każdą przeszkodę; zaiste w ten sposób mówi tylko kochający ojciec.

Lister ujął Lolę za rękę i uścisnął ją w swojej dłoni. On, cynik, niedowiarek, bawiący się życiem ludzkiem jak piłką, nie mógł się również powstrzymać od głębokiego wrażenia.

Nie pierwszy raz widział Lolę. Lecz dopiero dzisiaj stał przed nią jako ojciec.

Więc to była jego córka, którą mu wydarła niewierna kobieta!

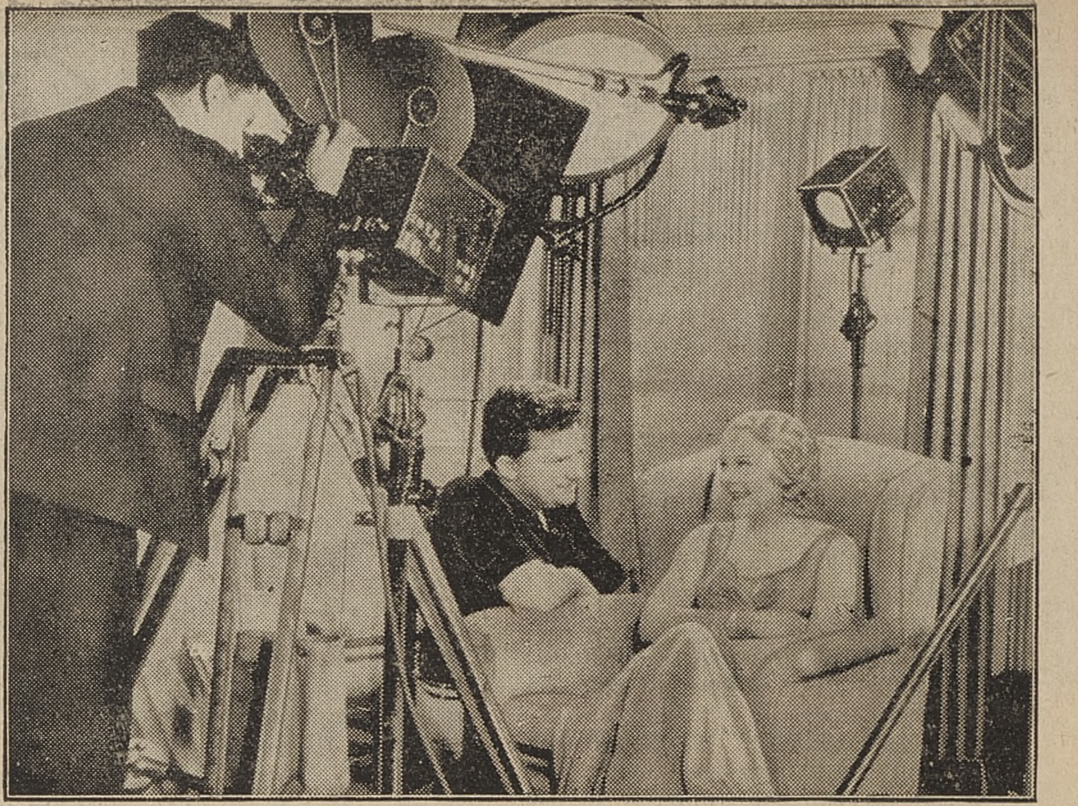
Niegdyś, pełen nadziei, stał nad jej kołyską! Lola była owocem miłości, dla której poświęcił swoją cześć! — Lodowata powłoka, otaczająca serce Satanellego, topniała powoli, a biedne skamieniałe prawie serce biło znowu przyspieszonem tętnem.

„Lolu, moje dziecko!“ szeptał Lister, całując jej wypieszczone ręce, „spojrzyj na mnie! — Tak jesteś podobną do ojca, — a nie do niej, która nie zasługuje wcale na miano matki! — Nie mąćmy jednak tej chwili wspomnieniami o tej kobiecie. Niech nam to wystarczy, żeśmy się znowu spotkali. Jeżeli zechcesz, to pozostaniemy zawsze przy sobie! Moja ręka obroni cię zawsze. Spełnię każde twoje życzenie. Lolu, nazwij mnie twoim ojcem!“

„Ojcze!“ szepnęła Lola wzruszonym głosem. "Ojcze, drogi ojcze, nie wiesz, jak szczęśliwą jestem w tej chwili!“

Lola rzuciła mu się w objęcia. Lister posadził ją na kolanach. Trzymał ją jak małe dziecko i całował te urocze włosy, usta i oczy.

Niema takiej występnej natury, któraby się mogła oprzeć uczuciom pokrewieństwa krwi. Natura stworzyła wiele rzeczy, których nie można zastosować w praktyce. Jedno tylko jej



Mistrzyni tegorocznej Olimpjady zimowej w Garmisch-Partenkirchen, Norweżka, Sonja Henie, została zaangażowana do filmu w Hollywood. Widzimy ją w atelieć filmowem podczas nakręcania próbnych zdjęć.

dzieło przetrwało wieki i pozostało nienaruszone. To dzieło, ta świątynia wznosi się w chwili, kiedy matka daje życie dziecku, kiedy ojciec po raz pierwszy całuje swoje dziecko. — Ta świątynia jest macierzyńską i ojcowską miłością.

Lister, trzymając Lolę w objęciach, opowiadał jej krótko historję swojej nieszczęśliwej miłości i małżeństwa. Objaśnił, w jaki sposób zapoznał jej matkę i jak był z początku szczęśliwy. Trzeba przyznać, że jego opowiadanie nie wyglądało wcale na skargę przeciwko Arabelli. Zamilczał o przestępstwie, którego się dopuściła na nim jego żona.

Tego tylko nie mógł zataić przed Lolą, że Arabella uciekła razem z jego dzieckiem.

„Ciągle szukałem cię," mówił detektyw. „Długo nie mogłem odnaleźć ciebie. Ach, gdyby mi się było udało wcześniej odkryć miejsce, twojego zamieszkania! Wówczas nie przyszłoby do tego! Lecz Bóg zarządził inaczej. Wyrosłaś zdala od ojcowskiej miłości, bez opieki i nadzoru! Nie robię ci żadnego wyrzutu, moje dziecko! Straszny cios losu, którego powodem była twoja matka, złamał mi zupełnie życie! Wykoleiłem się i pędziłem życie w obcych krajach, o których przed tem ani nie śniłem. — Mówmy otwarcie, moja córko. Świat zna mnie pod nazwiskiem Edwina Listera i ceni mnie jako zręcznego detektywa, który może się pochlubić odkryciem wielu zbrodniarzy. Lecz ja dopuściłem się także kilku przekroczeń względem prawa. Nie czuję jednak skruchy, ponieważ ten świat zasługuje zupełnie na to, by go oszukiwano. Wszyscy jesteśmy tylko aktorami, a kto gra najlepiej swoją rolę, ten zbiera oklaski i laury. Wszyscy jesteśmy przestępcami, — a kto umie ukrywać swoje zbrodnie, ten dojdzie napewno do znaczenia. Dlatego złączmy moje dziecko nasze losy i starajmy się żyć szczęśliwie. Zawsze będę starał się zadowolić twoje życzenia, nawet gdybym był zmuszony popełnić zbrodnię. Jest mi to zupełnie obojętne, jeżeli tylko uszczęśliwię moją córkę! Nieprawda Lolu?"

„O ojcze," szepnęła piękna kobieta, zarzucając swoje śnieżne ramiona na szyję Satanellego, „o, gdybyś wiedział, jak szczęśliwą jestem, żem spotkała się z moim ojcem! Dziękuję ci, żeś mnie powstrzymał nad brzegiem przepaści i przeszkodził w niedorzecznem samobójstwie. Tak, czuję teraz, że warto żyć na tym świecie!"

„Powiedz mi moja córko, dlaczego chciałaś odebrać sobie życie? Skąd się wzięłaś w Berlinie, co robisz w tym hotelu? Powiedz mi wszystko, gdyż tylko w takim razie mogę ci pomóc."

Teraz była kolej na Lolę opowiedzieć wszystko. I rzeczywiście nie zataiła niczego przed swym ojcem. — W krótkości skreśliła swoje przygody, o których Satanelli po większej części był już poinformowany. Następnie opowiedziała, w jaki sposób połączyła się znowu z Kazimierzem, — jak go wyratowała z rozbitego pociągu, — i pielęgnowała w niedostępnej jaskini i dla-



Na dzień głośnych wyścigów o „brunatną wstęgę Niemiec", które odbyły się 26 ub. m. br. na polu wyścigowem w Monachjum, wydała poczta niemiecka powyżej reprodukowany znaczek za 42 fenigi. Znaczek ten sprzedawany jest z nadwyżką, która przeznaczona jest na organizację międzynarodowych wyścigów konnych w Monachjum.

czego, korzystając z jego ślepoty, podała się za Anielcię.

„Pojmuję cię!" zawołał Satanelli, „jesteś więc w Berlinie razem z Kazimierzem Zamskim?"

„Tak, mój ojcze!"

„Kazimierz mieszka obok w sąsiednim pokoju?"

„Tak jest!"

„I drżysz przed tą chwilą, kiedy się zjawi hrabia Zygmunt Sokolski? — Rozumiem. Przegrasz całą grę, jeżeli cię zobaczy hrabia. Wówczas przekona się Kazimierz o całem oszustwie!"

„Niestety, mój ojcze," rzekła Lola, „teraz muszę ci jeszcze wyjawić, — czego zapewne się nie domyślasz, — że nie mogę żyć bez Kazimierza; — nie przeżyję tej myśli, bym go miała opuścić. Rozpoczęłam tę straszną komedję, nie z chęci do złego, lecz dlatego tylko, by Kazimierz nie połączył się z inną. Na samą myśl burzy się wszystko w mojej duszy, — ojcze, o ojcze, przyrzekłeś mi usunąć wszelkie przeszkody z mojego życia.

„Ojcze, jestem przekonaną, że żądam niemożliwe rzeczy; lecz twoje zrozpaczone dziecko błaga cię o pomoc. Daj mi Kazimierza i spraw, by mnie nie odkrył hrabia Zygmunt. Niech Kazimierz żyje tem złudzeniem, że przy nim bawi ukochana Anielcia."

„Przyrzekam ci to, moja córko!" zawołał Satanelli. „Nikt nie odbierze ci Kazimierza Zamskiego."

„Ojcze, niebezpieczeństwo się zbliża. Hrabia Zygmunt powróci za chwilę, a wtedy —"

„Mylisz się," odparł Satanelli, „Zygmunt jest już w hotelu. Przed chwilą otwarły się drzwi w sąsiednim pokoju; słyszałem jego głos. — Nie bój się, moja córko. Za pół godziny połączysz się z Kazimierzem, a hrabia Zygmunt nie uczyni ci nic złego."

„Ojcze, mówisz tak zagadkowo! Czyż to możliwe? Jeżeli Zygmunt zejdzie się z Kazimierzem, wówczas wyjdzie na jaw całe oszustwo."

„Nie, moja córko. Musimy przeszkodzić temu, by cię **Zygmunt** zobaczył przy Kazimierzu. — Powiedz mi jednak, czyś się zdradziła przed młodym hrabią z twoim zamiarem samobójstwa?"

„Nie, mój ojcze! Byłam silną i opanowałam się w jego obecności!"

„Co mu powiedziałaś, wychodząc z pokoju?"

„Powiedziałam, że idę do mojego pokoju i wrócę za chwilę."

„Zyskałaś więc na czasie. Trzeba z tego skorzystać."

Lola zbladła nagle i zatoczyła się. Satanelli przyskoczył i pochwycił ją w objęcia.

„Na Boga, co ci się stało, moja córko?" zawołał detektyw. „Dlaczego zbladłaś?"

„Oh ojcze, źle zrobiłam!" rzekła Lola, „sama odebrałam sobie możność złączenia się z Kazimierzem. Pożegnałam się z nim listownie. Wyznałam wszystko."

„Nieszczęśliwa!" zawołał Satanelli, „co uczyniłaś! Zawsze mówiłem, że pismo jest najgorszą trucizną!

„Zobaczymy, co się da zrobić! Położyłaś twój list na widocznem miejscu?"

„Kartkę z pożegnalnemi słowami położyłam na biurku w mojem pokoju."

„W twoim pokoju? Dzięki Bogu! Zygmunt nie wejdzie bez powodu do twego pokoju. Zaczekaj, dopóki nie skończysz toaletę. — Moje dziecko, opisz mi dokładnie położenie twojego pokoju. Masz osobny wchód na korytarz?"

„Nie, mój ojcze. Do mojego pokoju wchodzi się przez salon, w którym obecnie znajduje się Kazimierz z Zygmuntem."

„Do djabła! To fatalne! Pomimo tego przyniosę ci ten list pożegnalny, zanim go przeczyta Zygmunt. — Uważaj teraz na moje wskazówki. Tymczasowo pozostań tutaj i nie opuszczaj tego pokoju pod żadnym warunkiem! Nie otwieraj nikomu, nawet gdyby pukano do drzwi. Nie otwieraj i zachowuj się cicho. Na dany przezemnie znak otworzysz drzwi i wpuścisz mnie do pokoju, a ewentualnie i mojego towarzysza."

Detektyw przystąpił do drzwi i zapukał trzy razy.

„Tak wygląda mój sygnał!" rzekł Lister, „na który otworzysz drzwi. Nie zapomnij, moja córko! Teraz żegnaj; do zobaczenia, droga Lolu!"

„Dokąd idziesz, mój ojcze?" zapytała nieśmiało Lola.

„Dokąd idę? Do Kazimierza i hrabiego Zygmunta!"

„Do nich? Oh mój Boże, jaki niespokój ogarnia moją duszę! — Mój ojcze, poco tam idziesz?"

„Usunę przeszkody!" odparł ponuro detektyw. — „Usunę list i człowieka!"

Detektyw uścisnął jeszcze raz Lolę. Po chwili otworzył drzwi i wyszedł na palcach na korytarz.

Zaczekał, dopóki Lola nie zamknęła drzwi na klucz, poczem poszedł dalej.

„Teraz trzeba spełnić mistrzowską sztukę," szepnął Satanelli. „Edwinie, dokonałeś wielu, na pozór niemożliwych rzeczy! Tą razą nie jesteś na żołdzie u obcych ludzi i nie rozchodzi ci się o marne pieniądze, lecz o szczęście własnego dziecka! Spełń pierwszą prośbę twojej córki! — Naprzód, śmiało do dzieła; jeżeli zajdzie potrzeba, to po trupach dojdę celu!

„Po trupach!“ szeptały złowrogo wargi markiza Satanelli, „przeczuwam, że spełnienie życzenia mojej córki pociągnie za sobą ludzką ofiarę!“

CLII.

Zbrodnia na tle ojcowskiej miłości

Zygmunt Sokolski powrócił z biura telegraficznego do hotelu „Kaiserhof“ z bijącem sercem i słodką nadzieją.

Teraz nadeszła ważna chwila, na którą tak długo czekał, o której marzył w niejednej bezsennej nocy. — Wreszcie zobaczy swoje ukochane dziecko!

Zygmunt wybiegł prędko po schodach i wpadł jak bomba do salonu, w którym mieszkał Kazimierz.

Na twarzy hrabiego Sokolskiego pojawiło się pewne rozczarowanie; Anielcia nie była jeszcze w pokoju.

„Nie wróciła?“ zapytał, ujmując Kazimierza za rękę, — „przychodzę za wcześnie?“

„O nie, przyjacielu!“ odparł Kazimierz „Anielcia wróciła przed chwilą. Znajduje się tam za drzwiami i kończy toaletę. Za kilka minut pojawi się przed tobą.

„Uspokój się, zobaczysz twoją córkę!“ mówił spokojnie Kazimierz. „Ach, nie wyobrażasz sobie jak wzruszyła ją ta wiadomość, gdy jej oznajmiłem twój przyjazd. Biedne dziecko drżało wprost ze wzruszenia.“

„Ja także drżę cały!“ odparł Zygmunt. Muszę skrócić te męki. Pozwolisz, że otworzę drzwi i zrobię niespodziankę Anielci!“

„Nie, czekaj!“ prosił Kazimierzz. „Zobaczysz ją przecież za kilka minut! Tymczasem spytam cię o jedną rzecz, która mi leży na sercu jak ciężar. — Mój przyjacielu, powiedz otwarcie, czy nie odmówisz mi teraz ręki twojej córki? Obiecałeś mi niegdyś Anielcię, lecz wówczas nie byłem ślepy!“

„Jeżeli ci wtedy przyrzekłem jej rękę,“ odparł Zygmunt, „to i dziasiaj nie cofnę mojego słowa. A twoja choroba, zdaniem profesora Grafe, przejdzie za kilka miesięcy.“

„Lecz przypuśćmy, że nie odzyskam wzroku,“ zawołał Kazimierz drżącym głosem; „jeżeli ta choroba pozostanie do śmierci! Profesor jest przecież tylko człowiekiem, a jako taki mógł się pomylić! Co wtedy, mój ojcze? Chcesz skuć los twojej córki z życiem ślepego człowieka?“

„Dla mnie będziesz zawsze pożądanym zięciem, nawet, gdybyś nie odzyskał wzroku! Lecz w tym wypadku decyzja należy tylko do Anielci!“

„O, to świetnie!“ zawołał wesoło Kazimierz. „Anielcia zgodziła się. Tutaj na tem miejscu przyrzekła mi, że zostanie moją na całe życie, — a zwłaszcza, gdybym pozostał ciemny!“

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Hrabia Zygmunt zawołał „proszę!“ i ku swemu najwyższemu zdziwieniu zobaczył Edwina Listera.

„Ah, pan Lister,“ zawołał Zygmunt, „przychodzi pan w samą porę. Pańskie zadanie zostało szczęśliwie rozwiązane. Dziwny przypadek połączył mnie z ukochanemi osobami. Przed panem stoi



Wielkie marzenia są nieraz małych chłopców, Maleńki gracik —okręt, spuszczany na ogrodową sadzawkę, nasuwa im sny o dalekich podróżach po morzu i niecodziennych przygodach.. Niewiadomo tylko, czy sny te urzeczywistnią się kiedyś w przyszłości...

hrabia Kazimierz Zamski! Niestety, przy katastrofie w Ameryce postradał swój wzrok. Lecz zdaniem profesora Grafe nie trzeba tracić nadziei.“

„Ach! Cieszę się mocno, że mogę przywitać pana hrabiego!“ zawołał detektyw, rzucając dokoła badawcze spojrzenie. Następnie skierował swój wzrok na drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju. „Obawiałem się,“ rzekł, zwracając się do Zygmunta, że pan hrabia wogóle nie powróci!“

„Drogi panie Lister, Kazimierz przyjechał w towarzystwie,“ odparł Zygmunt Sokolski. „Przywiósł ze sobą moją ukochaną córkę, — Anielcię!“

„Anielcię?“ zapytał Lister. „Pan hrabia odszukał Anielcię?“

„Tak jest, spotkał się z nią w Ameryce,“ rzekł Zygmunt Sokolski. „Moja córka znajduje się obecnie w drugim pokoju i kończy swoją toaletę. Za chwilę może się pan przekonać o naszem szczęściu.“

„Z chęcią!“ odparł Lister. „Będę zobowiązany do wielkiej wdzięczności, jeżeli pan hrabia pozwoli mi przywitać swoją córkę. Napróżno szukałem jej śladów i dlatego jestem ciekawy ją poznać.“

„Nie widać jakoś Anielci!“ zawołał Zygmunt Sokolski. „Czyżby się dotychczas jeszcze nie przebrała?“

„Bądź cierpliwy drogi Zygmuncie!“ pocieszał go Kazimierz; „zobaczysz ją za kilka minut.“

Lecz hrabia Sokolski nie mógł dłużej czekać. Długo, bardzo długo tęsknił za tą chwilą, kiedy przywita nieszczęśliwe dziecko Almy, swoją Anielcię! Poco przedłużać niepotrzebnie spotkanie! Nie, — teraz musi zobaczyć Anielcię!

„Proszę, niech pan zostanie z moim zięciem!“ rzekł do detektywa, „brak mi sił do dłuższego czekania! Wejdę do drugiego pokoju i pozdrowię moje dziecko.“

Lister zerwał się z fotelu; w jego rysach malował się niepokój. Hrabia Zygmunt nie powinien bez niego wejść do pokoju Loli. Na biurku leżał ten fatalny list, który zdradziłby Zygmuntowi całe oszustwo.

„Panie hrabio!“ zawołał Lister, stając przy boku Zygmunta. „Zanim pan wejdzie do tego pokoju, trzeba najpierw rozważyć, czy pańska córka jest dostatecznie przygotowana na widok ojca? Wiadomo panu, że nagła uciecha szkodzi podobnie jak niespodziewany cios losu. Czyby nie było lepiej, gdybym w paru słowach przygotował pannę Anielcię na spotkanie z ojcem?“

„Dobrze, kochany panie Lister,“ rzekł cicho hrabia Zygmunt Sokolski, „wprawdzie Kazimierz napomknął mojej córce o mojem przybyciu, lecz będzie mi przyjemnie, jeżeli ją pan jeszcze raz o tem uwiadomi. Niech pan powie mojej córce, że ją oczekuję z niecierpliwością w tym pokoju.“

Detektyw przyskoczył do drzwi prowadzących do drugiego pokoju. Zapukał, wiedząc dobrze, że tam niema nikogo.

Lecz przed teściem i zięciem trzeba było zachować pozory, jakby się tam znajdowała Anielcia.

Detektyw otworzył drzwi, wszedł do pokoju i rzucił się na biurko. Chwycił papier i schował go do kieszeni.

Niebezpieczeństwo minęło. Teraz trzeba tylko wywabić hrabiego Sokolskiego pod jakimś pozorem z hotelu i zmusić go do wyjazdu z Berlina. Wówczas Lola może się połączyć bez obawy z Kazimierzem.

Tajemnica pięknej awanturnicy będzie nienaruszoną, jak długo hrabia Zygmunt nie zobaczy Loli.

Lister powziął w tej chwili straszny zamiar, wymagający ludzkiego życia. Był ojcem córki i dla jej szczęścia poświęcał własne sumienie.

Lister wpadł nagle do pokoju Kazimierza i zawołał:

„Moi panowie, zaszła jakaś pomyłka! W tym pokoju niema panny Anielci.“

Hrabia Zygmunt Zamski wzdrygnął się z przerażenia.

„Pomyłka jest wykluczona!“ odparł, „wiem napewno, że Anielcia weszła do tego pokoju celem zmiany ubrania...

„Proszę, niech się panowie przekonają,“ zawołał detektyw, „zobaczycie, że Anielci niema w tym pokoju.“

Hrabia Sokolski przekonał się naocznie, że pokój był pusty. Anielcia nie mogła wyjść z pokoju, ponieważ salon nie miał osobnych drzwi na korytarz.

„Pomyliłeś się, Kazimierzu“, rzekł Zygmunt do hrabiego Zamskiego, „Anielcia nie weszła do tego pokoju.“

„Wprawdzie nie widzę,“ zawołał gwałtownie Kazimierz, „lecz słyszę za to wybornie. Zresztą sama Anielcia powiedziała mi, że idzie do drugiego pokoju! Gdzieżby się podziała, jeżeli jej tam niema?“

„Jeżeli panowie sobie życzą,“ rzekł Lister, „to poszukam pannę Anielcię. Może ją ktoś widział ze służby hotelowej. Wrócę za kilka minut i prawdopodobnie zdołam objaśnić panów.“

„Owszem!“ zawołał Zygmunt Sokolski. „Mój Boże, co to znaczy? Myślałem, że moja córka znajduje się za temi drzwiami, a tu — ?“

„Odwagi, Zygmuncie!“ pocieszał hrabia Kazimierz, „Anielci nie mogło się nic stać złego! Tutaj nikt by się nie odważył popełnić zbrodni. Czekajmy cierpliwie na jej powrót.“

„Daj Boże!“ odparł Zygmunt Sokolski, siadając na fotelu. „Za często byłem rozczarowany i dlatego nie mam nadziei. Wierzę w to tylko, co widzę na własne oczy!“

Lister wyszedł z pokoju, w którym znajdowali się Kazimierz i Zygmunt. Detektyw zwrócił się ku drzwiom, za któremi siedziała Lola.

Dał umówiony znak i zapukał trzykrotnie do drzwi. Lola odsunęła zasówkę, a Lister wszedł do pokoju.

„Na Boga, co się stało?“ zapytała Lola, spoglądając bezmyślnie na ojca. „Znalazłeś mój list? Dowiedział się Kazimierz o mojem oszustwie?“

„Nic nie wie, o niczem się nie dowiedział!“ odparł zgryźliwie Lister; „masz tę głupią kartkę, którą zostawiłaś na biurku.“

Lister wyjął kartkę, by ją wręczyć Loli, lecz po chwili schował ją znowu do kieszeni.

„Teraz nadchodzi rozstrzygnięcie!“ rzekł detektyw. „Chodź, staniemy przy oknie, by w drugim pokoju nie posłyszano naszej rozmowy.“

Ojciec i córka stanęli koło okna i rozmawiali ze sobą po cichu.

Wreszcie Lister podał Loli małą flaszeczkę.

„Zrozumiałam cię, ojcze! Lecz drżę na samą myśl, gdyby nam się nie powiódł nasz plan.“

„Wszystko zależy tylko od twojej zręczności!“ odparł Lister; „uważaj, by ci ręka nie zadrżała. Na dany znak, zajdź z tyłu i — — —“

„Dobrze!“ zawołała Lola nienaturalnym głosem. — „Od tego zależy moje szczęście.“

„Bardzo możliwe“ dodał Satanelli, „że po skończonym czynie nie będziemy mogli mówić ze sobą. Uważaj więc na moje słowa. Powrócisz natychmiast do Kazimierza i usprawiedliwisz się z twojej nieobecności. Następnie staraj się go namówić, by jeszcze dzisiaj wieczór wyjechał z Berlina do swego zamku nad Renem.

„Tam podam ci dalsze wskazówki. Na zamku nie będzie ci nikt przeszkadzał w twojem szczęściu. Gdyby ci jednak groziło niebezpieczeństwo, to poślij list albo telegram pod wiadomym adresem. Mieszkam ciągle przy rue Montmartre.“

„O, mój ojcze, czem ci się odpłacę!“ zawołała Lola.

„Nie myśl o tem moje dziecko! Do tychczas nie spełniałem względem ciebie obowiązków ojca, ponieważ losy rzuciły nas na przeciwne krańce. Teraz złączył nas ślepy przypadek. — Nie zapomnij tylko, że posiadasz kochającego cię ojca.“

Lister pochylił się i pocałował Lolę w czoło. Po chwili wyszedł z pokoju. Na korytarzu przystanął nagle i zakrył twarz rękoma.

„Boże!“ zawołał, „to wprost nad moje siły. Ze wszystkich przestępstw, to będzie najpodlejsze i najmniej godne usprawiedliwienia. Lecz nie działam dla siebie. Robię tę ofiarę dla córki. Muszę przyczynić się do jej szczęścia.“ — —

Lister otworzył drzwi i wszedł śmiało do pokoju.

Zygmunt zerwał się z fotelu i zapytał:

„Widziałeś pan Anielcię? Dotychczas nie wróciła. Przeczuwam, nowe nieszczęście.“

„Cicho!“ szepnął Lister, „muszę pomówić z panem w cztery oczy. Powiedz pan hrabiemu jakiś powód, byśmy mogli razem wyjść z pokoju.“

Zygmunt zbladł. Opanował się jednak w następnej chwili i zwrócił się do Kazimierza:

„Drogi przyjacielu, muszę cię opuścić na chwilę. Pan Lister powiedział mi, że Anielcia wyszła z hotelu. Widocznie nie słyszałeś, gdy przechodziła przez twój pokój. Wrócę za kilka minut.“

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z Listerem na korytarz.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 28 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.50 Transm. z Placu Marszałka Piłsudskiego. Nabożeństwo z okazji Święta Morza 10.30 Muzyka orkiestrowa (płyty) 12.03 Poranek muzyczny 14.30 „Audycja dla wsi" 15.30 Muzyka lekka 16.30 Transmisja ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerji we Włodzimierzu. Wołyńskim 17.00 „Pieśni o morzu" 17.20 Muzyka 18.00 Teatr Wyobraźni — „Na morskich szańcach Rzeczypospolitej" — słuchow. 18.30 Reportaż z Pierwszego Zjazdu Kaszubów w Gdyni 18.40 Koncert rozrywkowy z Krakowa 21.30 Recital wiolonczelowy Zofji Adamskiej 22.20 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 29 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 11.00 Transmisja z Gdyni uroczystości Święta Morza 12.30 Muzyka z płyt 14.00 Koncert solistów 14.30 „Audycja dla wsi" 15.00 „Morze w pieśni" — koncert w wykonaniu Tadeusza Łuczaja 15.15 „W co się będziemy bawili?" — aud. dla dzieci młodszych 15.30 Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego 16.00 Koncert z Ciechocinka 16.45 „Obozy wypoczynkowe dla kobiet pracujących" — pogadanka 17.00 „Nasza Marynarka gra" — koncert Marynarki Wojennej 19.00 Piosenki w wykonaniu Chóru Wiehlera 19.30 Poematy o morzu w muzyce fortepianowej 20.30 „Na morze" — felieton 21.00 Transm. z Sali Filharm. Warsz. zakończ. Turnieju Śpiewacz. I Zlotu Śpiewaków Polsk. zorganizow. przez Świat. Zw. Polaków Zagranicą 22.05 Fragm. z opery „Legenda Bałtyku" — Feliksa Nowowiejskiego 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 30 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert w wykonaniu Orkiestry F. Raabego (z Poznania) 16.00 Kwintet Salonowy Stefana Rachonia 16.45 „Skarby Polski" odczyt 17.00 „Pamięci Ottorino Rewpighi" 17.50 „Mszyce i ich wrogowie" — pogadanka 18.00 „Spacer przyrodnika po Warszawie" — pogad. dla dzieci starszych 19.00 Recital śpiewaczy Zofji Zeyland-Kapuścińskiej 19.20 Utwory skrzypcowe w wykonaniu Bernarda Lewinsona 19.40 „Na Bielanach" — obrazek muzyczny 20.30 „Kwiatki z niwy przekładów" — szkic literacki 21.00 Koncert wieczorny z płyt 22.15 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 1 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku 15.45 „Dzieńdobry czy dobranoc" — słuchowisko dla dzieci młodszych 16.15 Zespół kameralny Niny Mańskiej 17.00 Janina Brochwiczówna w swoim repertuarze 17.20 Koncert kameralny 17.50 „Anegdoty z życia Adama Asnyka" (z Krakowa) 19.00 Orkiestra Straży Więziennej pod dyr. Leopolda Spitzera 19.40 Arie i pieśni w wykonaniu Pawła Prokopieni 20.00 Na organach Wurlitzera 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" — „Wzorowe osiedla dla bezrobotnych w Naramowicach" 21.00 III-cia Audycja z cyklu „Kandydaci do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego" 21.30 „Chiński flet" — symfonia kameralna Ernesta Tocha 22.05 „Ogólnopolski wyścig kajakowy na Czeremoszu" — Reportaż 22.15 Mistrz Bel Canta reportaż muzyczny 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 2 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Wileńska orkiestra kameralna 15.45 Transm. z dworca poznańskiego z przyjazdu dzieci polskich z Niemiec na wakacje do Polski 16.00 Koncert z Ciechocinka 17.30 Recital śpiewaczy Eugenjusza Maja 17.50 „Woda jako czynnik zdrowotny" — pogadanka 19.00 Premjera słuchowiska oryg. pt. „Pani zabija pana" Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej 19.30 „Powrót Małej Orkiestry Polskiego Radja" 21.00 „Nasze pieśni" w wykonaniu Wandy Hendrich (z Wilna) 21.30 Franciszek Brzeziński: Sonata D-Dur op. 6 na skrzypce i fortepian 22.15 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 3 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 „Soprany koloraturowe" 16.00 Muzyka salonowa 16.45 „Początki Polskiej Organizacji Wojskowej w 1914 r." — odczyt 17.00 Popularne melodje Piotra Czajkowskiego 19.00 Xenia Grey i Marjan Demar w swoim repertuarze (z Poznania) 19.20 Recital fortepianowy Loli Strasberżanki 19.50 „Kalejdoskop" Audycja popularno-ludowa 21.00 Koncert wieczorny z udziałem Henryka Sztompki 22.15 Muzyka lekka i taneczna.

Sobota, dnia 4 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Trio salonowe Polskiego Radja 14.30 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa) 15.45 „Ze śpiewem przez Polskę" — „Hej z góry, z góry — jadą Mazury" — audycja dla dzieci starszych 16.00 Koncert solistów 16.45 „Początki Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku" odczyt 17.00 Muzyka salonowa w wyk. Orkiestry Klubu Mandolinistów 17.50 „Puszcza tucholska" — pogadanka, wygł. Stanisław Wasylewski z Poznania 19.00 „Letni wieczór" — audycja muzyczna 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą: „Sport polski przed Olimpjadą" 20.55 „Bitwa pod Kołodziejami" — odczyt 21.05 Recital śpiewaczy Stanisława Drabika 21.35 „Podwójne życie Symfonja Drucika" — słuchowisko 22.15 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

K O N I K Ó W K A

uł. Witold Mataczyński, Łysinin

ny	nusz	i	cki	za	Ka
la	łuc	wi	i	ka	jadź
ja	czar	no	om	li	de
ma	ord	pa	sza	ka	bia
sta	jek	mu	ku	a	na
rzyn	jaw	li	wu	ły	z

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki, która tworzy szereg pseudonimów z „Krainy szczerości.“

S Z A R A D A

uł. „Eros“

W części mowy *pierwsze - drugie* znajdziecie,
Co *trzecie - piąte* pokutnik czyni, wiecie,
A *czwarte - piąte* przynosi podróżnik zdaleka
Do żyjącego w samotni człowieka —
Całość natomiast jest bardzo lubiana
Od wielu zbliska i zdala oczekiwana.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 3 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 24 „Moich Powieści“: Logogryf: 1. Posag 2. Po*e*ta 3. Po*n*cz 4. Po*m*pa 5. Pr*a*sa 6. Po*r*yw 7. Pl*a*ma 8. Po*b*óg 9. Pr*ó*ba 10. Pegaz 11. Po*w*óz 12. Pl*i*ka 13. Pl*a*ża 14. Pi*r*at 15. Sk*a*rb. Całość: *„Sen mara, Bóg wiara.“* Szarada: *Olimpjada.*

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: „Eros“, Andrzej Mikołajczak — Odolanów, Henryka Pierzchalanka — Kalisz, Marcin Łojecki — Poznań, Eryk Śmigulski — Bydgoszcz, N. Marcinkiewiczówna — Białystok, Ela Walkowiakówna — Bydgoszcz, Józef Palkowski — Poznań, A. Włoszczuk — Naramowice, Piotr Awikowicz — Pleszew, Mańkowski Józef — Smolarz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: N. Marcinkiewiczównie z Białegostoku i Piotrowi Awikowiczowi z Pleszewa.

H-U-M-O-R

Domyślność

— Ej, kumie, wasze kury ciągle przychodzą do mego ogrodu!
— Domyślałem się tego!
— A skąd?
— Bo nigdy nie wracają!

Nadzwyczajne dziecko

Mój dobry znajomy, pan Koreczkowski, jest bardzo dumny ze swego sześcioletniego synka, Kazia.

Według opowiadania pana Koreczkowskiego, ten Kazio, to fenomenalnie rozwinięte dziecko! A jakie mądre, choć nieraz kłopotliwe pytania zadaje ojcu!

Naprzykład:
— Tatusiu... Co robi wiatr, kiedy nie wieje?
— Na co umarło Martwe Morze?
— Gdzie mieszkali Amerykanie, kiedy Ameryka jeszcze nie była odkryta?
— Jak wąż chce pomachać ogonem, to skąd wie, w którem miejscu zacząć?
— Czy kury wiedzą, jakie duże jajko trzeba znieść, żeby pasowało do kieliszka?
— Czy i słonie też bociany przynoszą na świat?
— Co trzeba zrobić, żeby mieć taki szeroki przedział na głowie, jak ma tatuś?
— Jak osa siądzie na oset to czy oset ukłuje osę, czy osa ukłuje oset?
— Jak wieloryb je sardynki, to jak otwiera pudełka?
— Czy murzyn jest czarny też od środka?

Mały polityk

Niedawno pan Koreczkowski plowtórzył mi z dumą taką rozmowę z Kaziem:
— Tatusiu, czy sanacja to krawiec?
— Skąd ci to przyszło do głowy?
— Bo ciągle wszyscy mówią, że ta sanacja, to nas ładnie ubrała!

Takie to nadzwyczajne dziecko z tego Kazia!

U fryzjera

— Czy dobrze cię, chłopcze, ostrzygłem? — pyta fryzjer.
— Nie, za krótko! Proszę dłużej!

Dobry prezent

— Co ci dała babcia, gdy jej powinszowałeś?
— Dała mi rękę do pocałowania...

Niewinny

— Tak być nie może! Ja mówię, a ty jednem uchem słuchasz, a drugiem wypuszczasz!
— Co ja winien, że mam dwoje uszu?

Apetyczny tort

Będąc na wizycie gość chwali podany tort:
— Doskonały torcik!
— To domowej roboty.
— Wyśmienity! A przytem tak ładnie zrobiony. Ma takie śliczne karbowane brzegi!
— To mamusia robiła sztucznemi zębami babci! — wyjaśnia synek pani domu.

Rekord Stasia

Najkrótsze wypracowanie na temat „Wizyta u cioci" napisał mały Stasio. Treść jego brzmiała:

„Nie zastałem ciotki w domu".

Żywy budzik

Szef: — Co to jest? Pan śpi podczas urzędowania?!

Urzędnik: — Bardzo przepraszam. W domu tak się wydziera dziecko, że nie mogę ani na chwilę oka zmrużyć.

— W takim razie niech pan przychodzi do biura z dzieckiem.

Uzasadniony pośpiech

Klient telefonuje do towarzystwa asekuracyjnego.
— Czy mogę ubezpieczyć swój dom od ognia?
— Naturalnie! — odpowiada dyrektor.
— Czy mogę uskutecznić to telefonicznie?
— Proszę bardzo. Zaraz przysyłam panu agenta z polisą.
— Zechce się pan pospieszyć, gdyż dom mój już się pali.

Rozważania

— Muszę ci powiedzieć mój przyjacielu, że jesteś skończonym osłem!
— Osłem powiadasz... Taaak, osłem... A dlaczego proszę ja ciebie? Czy dlatego jestem osłem, że ty jesteś moim przyjacielem, czy też dlatego jesteś moim przyjacielem, że ja jestem osłem...

Przegląd koni

Podczas przeglądu koni oficer wydał rozkaz, by żołnierze przy meldowaniu podawali najpierw swoje nazwisko, a potem nazwę konia.

Przez pewien czas spis odbywał się sprawnie.
— Kosicki — „Wicher".
— Wojciechowski — „Kasztan".
— Olicki — „Zefir".

Wreszcie:
— Alcybiades — „Szmondakier".
— „Szmondakier"? — dziwi się oficer. — Cóż to do djabła za nazwa?
— Nie szkodzi, panie poruczniku, melduje posłusznie, że myśmy się zamienili nazwiskami!

Poprawiła

— Czy kochasz mnie, Zosiu?
— Nie, bo pan źle wychowany i...
— Niech pan nie słucha, co ten dzieciak mówi — przerywa starsza siostra — to istna papuga, co usłyszy, zaraz powtarza.

Mało spostrzegawcza

Mąż: — Ciekawe! Co wieczór przeszukujesz moje kieszenie, a nie możesz spostrzec, że w każdej jest dziura.

Owszem...

— Bardzo lubię raki. A pani czy sobie robi co z homara?
— Owszem... majonez.

Powód

Pan Kutwicz kupił na raty papugę, której zachowanie mu się jednak nie podoba. — Idzie więc do sprzedawcy i skarży się:
— Proszę pana, ta papuga musi być chora. Zawsze trzyma głowę zwieszoną.
— O nie, ona się tylko wstydzi. Zobaczy pan, jak będzie wyglądała, gdy już wszystkie raty będą zapłacone.

Ma czas

— Znów się upiłeś? Zacznijże wreszcie lepszy tryb życia.
— Na to już jest zapóźno.
— Nieprawda, nigdy na to nie jest zapóźno.
— W takim razie mogę dalej pić.

Nad rzeką

Lidka: — Powiedz mi, co mam zrobić. Alfred od 20 minut jest pod wodą i wcale nie wypływa.

Janka: — Ja na twojem miejscu przestałabym go oczekiwać. Wszystko musi mieć swoje granice.

Tęsknota

Motocyklista (który rozbił się o drzewo i pokaleczył boleśnie): — W Indjach Wschodnich są przynajmniej drzewa gumowe...

U lekarza

Chory: — Całe życie zostanę pańskim dłużnikiem, jeśli mnie pan wyleczy.

Lekarz: — O, nie... ja leczę tylko za natychmiastową opłatą honorarjum.

Wyrodek

O pewnym niezwykle płodnym pisarzu, którego ojciec był kelnerem, ktoś złośliwie powiedział, że się zupełnie nie wdał w ojca.
— Dlaczego? — zapytano.
— Bo ojciec stale wydawał za mało, a syn wydaje stanowczo za dużo!

Nieodrodny

Szkot Yoheny O'Neil został skazany na śmierć... Po jego straceniu znaleziono w więzieniu depeszę do gubernatora z prośbą o ułaskawienie z następującym dopiskiem:
— Nie mogłem jej wysłać — za dużo słów — byłaby za droga.

Cenna fotografja

— To jest bardzo cenna fotografja mojej żony, istna rzadkość...
— Dlaczego, przecież to zupełnie zwykła fotografja.
— Jakto? Czy nie widzisz, że ma na niej zamknięte usta!

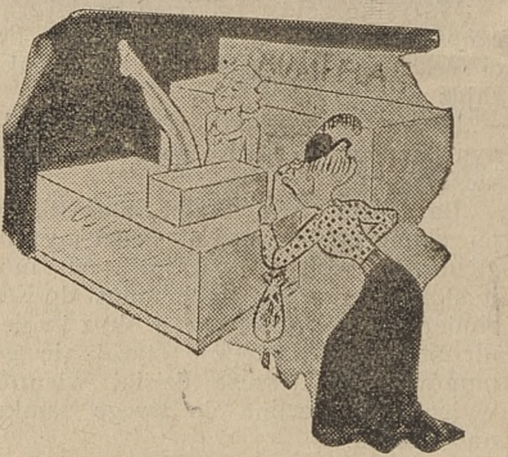
Słuszne pytanie.

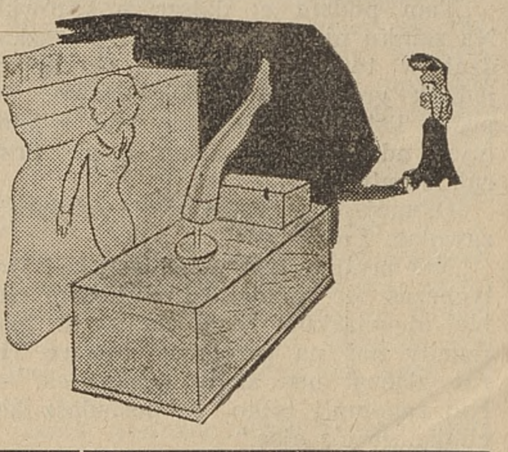
Szef do niezbyt gorliwego pracownika:
— Czy miał pan już jakiś wypadek podczas pracy?

Pracownik: — Nie. Ale dlaczego pan o to pyta?

Szef: — Ponieważ obawia się pan tak roboty.

Nieporozumienie...





PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie